This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

Slav 5198.420

HARVARD COLLEGE
LIBRARY

FROM THE

WILLIAM INGLIS MORSE FUND

FOR THE

PURCHASE OF BOOKS ON CANADIAN
HISTORY AND LITERATURE

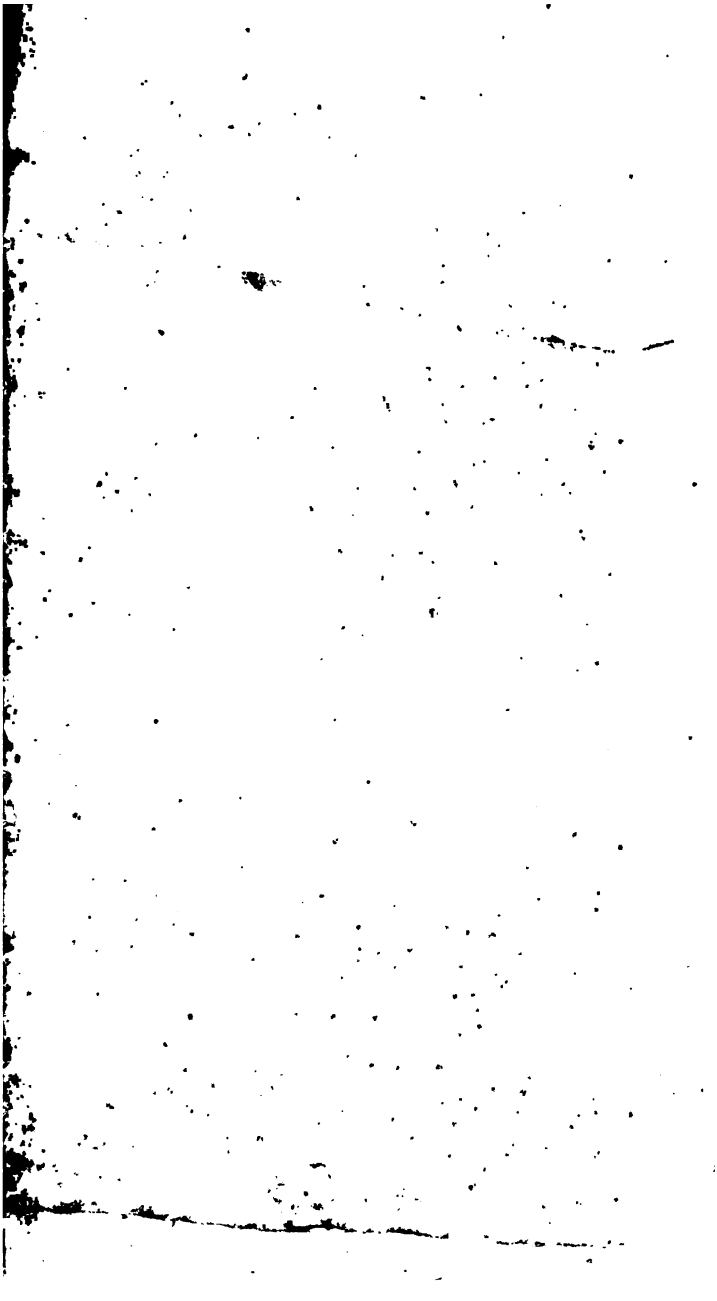

JÓZEF LIPIŃSKI.

MELITELE

Noworocznik.

WYDANY

przez

ANTONIEGO EDWARDA ODYŃCA.

Warszawa,

W drukarni A. Gałęzowskiego i K.

Przy Ulicy Łabiey N° 472.

1829.

ZYSZENIE. OŚWIATA... ANIE
filija

Z Księgozbioru
№
Julii Waroczewskiej

Δ
SJav 5198.420(1829)

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY
13 APR 1970

Morse 4

PRZEMOWA WYDAWCY.

Od trzydziestu przeszło lat zaprowadzone w Europie, i we wszystkich jéj, oprócz naszego, krajach, coraz tłumniéj, pod różnémi tytułami i w rozmaitych celach zjawiające się Almanaki, podały mi myśl przysłużenia się lubownikom literatury ojczystéj, upominkiem podobnegoż rodzaju.

Przedsiębiorąc wydanie niniejszego Noworocznika, miałem na celu nie tak zwykłe przeznaczenie Almanaków, aby za wiązanie w dzień Nowego roku słu-

żyły; jak raczéj korzystając z chlubnéj dla mnie znajomości, dobroci lub przyjaźni znakomitszych w kraju naszym pisarzów, starałem się o nadanie mu literackiéj wartości, a umieszczając w nim obok siebie płody rozmaitych autorów, chciałem go uczynić niejako skazówką rozmaitego ich charakteru i dążenia. — Składając więc dzięki tym, którzy mojego zamiaru świadomi, udzieleniem pism swoich wesprzeć go raczyli; nie mogę także przemilczeć wdzięczności, do któréj obowiązuje mię uprzejma grzeczność Autorki załączonej tu muzyki, którą mi ze sławy tylko swego talentu znajoma, pięknym tym utworem, Noworocznik ozdobić chciała.

Przepych wydania, stanowi za granicą główną Almanaków cechę. Trudno im było w tém zrównać, zwłaszcza w tym stanie sztycharstwa i litografii, w jakim dotąd u nas zostają. Robiło się jednak co można, i spodziéwam się że

czytelnicy oddadzą sprawiedliwość czystości i poprawności druku, która wszystkie w drukarni Gałęzowskiego wychodzące dzieła odznacza.

Umieszczam tu także widoki zwalisk trzech sławniéjszych zamków Litewskich, z dodaniem krótkiéj o każdym z nich wiadomości historycznéj. Jeśli łaskawe przyjęcie Noworocznika, do dalszego mię wydawania jego zachęci, będę się starał w latach następnych uczynić toż samo względem innych znakomitszych w kraju naszym ruin, których podania i dzieje, ściśle niekiedy z narodowemi złączone, a w dawnych już tylko kronikach, lub w ustach okolicznego ludu żyjące, często są bardzo ciekawe i ważne.

Powszechna wszystkim i bardzo naturalna jest chęć, poznania, a przynajmniéj ujrzenia rysów tych ludzi, którzy nas swémi czyny lub pismy zajmują. Rozumiem więc, że czytelnicy No-

JÓZEF LIPIŃSKI.

Abrahel

Noworocznik.

WYDANY

przez

ANTONIEGO EDWARDA ODYŃCA.

WYSZENIE. OŚWIATY
filija

Warszawa,
W drukarni A. Gałęzowskiego
Przy Ulicy Łabiey № 472.

1829.

Z Księgozbioru
№
Juliii Waroczewskiej

Zdaje mi się żem skończył tę okropną wojnę,
I dążył spiesznym krokiem przez zniszczone kraje;
Żem widział ojca mego mieszkanie spokojne,
Właśnie gdy nad niém słońce pogodne powstaje.

Już z radością postrzegam łąkę bujnéj trawy,
Psa méj trzody, jak spiesznie przybiega do pana,
Górę, łąki, i kościół, i ten dym białawy
Co się leniwo ciągnie nad dachem plebana.

Jakież ten powrót w rodzie mym sprawił wesele!
Przysiągłem krewnym moim przed niebem i światem
Że hełm ten więcéj na mém nie postanie czele;
I wraz go dzieci moje uwieńczyły kwiatem.

Podniosłem je, całując rumiane ich lice.
Żona mię przyciskała z słodkich uczuć łzami;
« Luby Władziu! mówili starcy z okolice,
Ach! jakżeś zmordowany, odpocznij tu z nami.

Już znikły z myśli znoje i trudy wojenne,
Gdy mię blask słońca budzi — rzucam twarde łoże.
Zagrzmiały raptem śpiże morderstwem brzemienne,
Lecę do walki... a z niéj nie powrócę może.

DZIÉCIE MŁYNARSKIE

ZDARZENIE PRAWDZIWE*

PRZEZ

AUTORKĘ PAMIĄTKI PO DOBRÉJ MATCE.

Blisko ośmdziesiąt lat temu, w pięknéj włości w Mazowszu, żyli Stolnikostwo K.... majętni obywatele. Już

* Prosty opis tego prawdziwego zdarzenia, pod zdatném piórem mógłby łatwo podać osnowę do obszernego i pięknego romansu. Romans ten byłby podobny do jednego z najlepszych Waltera Skota romansów "Więzienie Edymburskie." a jak tam autor potrafił wprowadzić na scenę Królowę Karolinę i ministra jéj Lorda *Argyle*, tak i tu możnaby łatwo wmieszać gnuśnego Króla Augusta, surowego Marszałka Bielińskiego; dodać zajęcia i ceny całości, nadając jéj rzetelną wieku barwę.

od lat sześciu łączył ich ścisły związek małżeństwa, już czworo mieli dzieci, ale same tylko córki. Stolnikowa jak zwyczajnie matka, która przez doznane cierpienia wiąże się już wtedy z dziecięciem swojém, kiedy to dziécię nikogo jeszcze nie obchodzi, każdą dziewczynkę przybywającą na świat witała mile, kochała serdecznie; ale Stolnik zupełny miał wstręt do córek i koniecznie chciał syna. Zacząwszy od piérwszéj, ile razy żona powiła mu dziewczynę, tyle razy w największą złość wpadał, bił ją, katował, dręczył; a gdy nareszcie już po raz piąty ojcem miał zostać, oświadczył, że jeżeli nie urodzi syna, śmiercią, a przynajmniéj zamknięciem w klasztorze ten zawód przypłaci.

W dzisiejszym wieku niedorzeczność i okrucieństwo podobne śmiéch i niewiarę wzbudzają, ale niestety! były czasy kiedy niemal pospolitemi były; pogróżki takowe za prawdę uważano, bo nie raz zmieniały się w skutek. Stolnikowa téż zlękła się bardzo oświadczenia małżonka i uwierzyła mu zupełnie; dręczona nieustannie pamięcią chwili, która jéj los stanowić miała, uczuła wnet znaczną w zdrowiu szkodę; rumieniec znikł zupełnie z jéj lica, wesołość z twarzy; młoda jeszcze, jak cień, jak bliska śmierci ofiara po domu się snuła. Już tylko miesiąc niepewno-

ści miała przed sobą, już jedyną jéj nadzieją zaczynał bydź zgon dosyć podobny przy takiém sił wycieńczeniu, kiedy Stolnikowi wypadła nagła potrzeba jechania do Warszawy i to na czas nieograniczony. "Pamiętaj WacPani, rzekł do żony na wsiadaniu, pamiętaj o obietnicy mojéj; ujrzysz mnie albo szczęśliwym i kochającym mężem, alboli téż zagniewanym i mściwym panem." To powiedziawszy wstrząsnął mocno jéj ręką, wsiadł do brodzkiéj cztérokonnéj bryczki i ruszył.

Nieszczęsna żona, wpadła w mdłości po wyjeździe jego i dzień cały w łóżku spędzić musiała; litowali się nad nią wszyscy domowi bo dobrą i sprawiedliwą była; litowała się najwięcéj Panna jéj służąca, która w domu jéj rodziców wzrosła, razem z wyprawą jéj dana, kochała ją jak własne dziécię. Panna ta już miała przeszło lat cztérdzieści, a jak pospolicie dworki, obok wielu przymiotów, miała i nieco przebiegłości. Kiedy widzimy drogą nam osobę w ciężkiém zmartwieniu, przynieść jéj ulgę i pomoc, jest najżywszą chęcią naszą; nic więc dziwnego że i przywiązanéj służącéj, myśli takowe zaczęły się snuć po głowie. Niebytność nieograniczona Stolnika, jakby zapowiedziany powrót jego, dopiéro wtedy gdy po wszystkiém będzie, inne téż jakby z umysłu układane okoliczności,

wszystko ułatwiło jéj drogę do poczęcia i ukartowania następującéj intrygi. We wsi gdzie mieszkali była młynarka, która od roku za mąż poszedłszy, spodziewała się zostać matką, w tymże samym czasie co jéj Pani. Z nią i z jéj mężem weszła Panna w układy, i po długich namowach stanęło nareszcie na tém: że jeśliby młynarka syna powiła, jak jéj wszyscy wróżyli, a Pani Stolnikowa według zwyczaju swego córkę, za sutą nagrodą nastąpi zamiana dzieci; zamiana, do zatajenia któréj, zobowiązały się te trzy osoby uroczystą przed Krucyfixem przysięgą. Stolnikowa na piérwszą myśl tego podstępu, a zwłaszcza na myśl wyrzeczenia się własnego dziécięcia, wstręt uczuła; ale gdy jéj Panna z zwykłą nad jéj umysłem władzą, przedstawiła pomyślne jego skutki, uległa; co więcéj, ożywiona nadzieją wnet do dawnych sił przyszła, a nierównie mniéj niż kiedy cierpiąca, wystawiać sobie mimowolnie zaczęła, że i ona pewnie syna powije. Tymczasem inaczéj się stało; téjże saméj nocy, o godzinę tylko różnicy, obił się głos nowo narodzonego dziécięcia o skromne młyna ściany i kobiercami wybite dworu pańskiego mury; ale tam piérwszego syna z radością, tu piątą córkę matka z rozpaczą do zbolałego przycisnęła łona. Lecz nie było na rozpacz czasu, ani téż troskliwa Panna nie dozwoliła jéj

miejsca. Szczęśliwa że w młynie syn się urodził, wnet zamianę dzieci uczyniła sama, a to wszystko tak prędko i zręcznie, że ani we dworze, ani we młynie, ani we wsi całéj, nikt najmniejszego o fortelu nie powziął domysłu; owszem wszędzie najżywsza panowała radość, bo ze świtem rozeszła się po wszystkich zakątach wieść pomyślna, że Pani pożądanego dziedzica powiła. Wysłany natychmiast goniec do Warszawy, zdziwieniem i niepojętą radością serce Stolnika napełnił. Lubo jeszcze nie ukończył sprawy, lotem ptaka przybył do domu, i z równą tkliwością i zapałem, żonę i syna uściskał. Nigdy go jeszcze nikt tak wesołym, tak czułym nie widział; zdawało się że w innego przeistoczony człowieka, że nowe rozpoczął życie; kochająca małżonka widząc szczęście jego, zapominała wszelakich wyrzutów i niespokojności, a *dziecię młynarskie*, któremu tyle była winna słodyczy, które sama karmiła, równe miejsce, a może i wyższe, nieznacznie w jéj sercu zajęło. Trzy lata tak minęły; mały dziedzic chował się ślicznie i zdrowo; wraz z nim, szczęście zamieszkało dom Stolnikostwa; miłość, zgoda, wesele panowały w nim jak w piérwszych chwilach pobrania.

Ale przeciwnie się działo w domu młynarskim; od samego początku młynarz opiérał się był téj zamia-

nie, daleko silniéj niźli żona jego; zniewolony nareszcie wymową Panny, sutym datkiem, nadzieją mienia innych dzieci, zezwolił; jednak gdy chłopiec się urodził, chciał już był wszystko zerwać i ledwie go żona pamięcią przysięgi wstrzymała. Szczególnym trafunkiem, już więcéj dzieci nie mieli, a na większe jeszcze nieszczęście, córeczka Pańska w zamian im dana, od urodzenia słabowita i nędzna, ale miła i roskoszna dziewczynka, trzy lata mając, po krótkiéj chorobie umarła, i zostali bezdzietni. Kiedy ta jedyna łudzącego się ojca pociecha prawie na rękach jego skonała, wpadł w srogą rozpacz, złorzeczył żonie, przeklinał chciwość, rzucał z wściekłością nabyte za występne pieniądze sprzęty, mówiąc, że dla tego Bóg im już dzieci nie daje, bo piérwsze zaprzedali; a w całéj gwałtowności piérwszego żalu, wyszedł na wieś. Trafiło się iż przechodzić musiał koło podwórca Pańskiego; było to w lecie; na trawniku w środku będącym, w cieniu lipy rozłożystéj, zobaczył dziécię piękne jak aniół, czerstwe jak zdrowie, wesołe jak niewinność, które z dziedzicem igrało, które on z uczuciem szczęścia do serca przyciskał. Był to syn jego; mniemany ojciec cieszył się nim i pieścił, a on był bez dzieci, bez pociechy!.. Tego widoku znieść nie mógł, otworzył z trzaskiem bramę podwórca, wpadł

i wyrwał dziécię z rąk Pańskich wołając: "to syn mój!" Stolnik zląkł się, lecz osądził, że młynarz dostał pomieszania zmysłów; ale ten opowiadaniem pełném uczucia, rozsądku, i téj dzielności, którą jedna tylko prawda miéć może, przekonał go wnet, że był oszukanym; okazał mu jak na dłoni, że przez trzy lata zmyśloném szczęściem, nie swoim synem się cieszył. Przywołana małżonka, na sam widok dziécięcia w ręku prawego ojca, zemdlała; Panna służącą chciała z początku zaprzeczać wszystkiemu, w młynarza szaleństwo wmówić; ale gwałtowne obejście się z nią Pana, przymusiło ją w krótce do zeznania prawdy. Młynarka jeszcze we łzach po stracie przybranego dziécięcia, spojrzawszy raz na własnego syna, nie miała mocy zmyślania. Tak więc przekonał się aż nadto Stolnik, że znikomą i mylną była radość jego; a ile był upojony szczęściem posiadania jedynaka, kiedy miał pewność że jest jego ojcem, tyle gniew jego i chęć zemsty nie znały miary, kiedy ją utracił. Żonę związaną kazał natychmiast odwieść do klasztoru; młynarzowi, żonie jego i Pannie służącéj, zamknąwszy ich w ciężkiém więzieniu, sprawę kryminalną wydał. Ta ciągnęła się dosyć długo, ale Stolnik sypał pieniędzmi, sądownictwo w ów czas w Polsce nie było na téj co dziś stopie, koniec jéj więc

był taki. Młynarzowi i żonie jego po cztéroletniém więzieniu, oddano dziécię; Pannę służącą, jako początek całéj intrygi, na śmierć skazano. W rynku warszawskim ścięto jéj głowę; a ponieważ ten wyrok, za podstęp, do którego przywiązanie powodem było, zdawał się bydź wszystkim srogi i kupiony, długo była wieść między pospólstwem, iż kadłub téj nieszczęśliwéj trzymając ściętą niesprawiedliwie głowę pod ramieniem, obchodzi co noc rynek staromiéjski, ślady krwi zostawując w koło i żądając pomsty od Boga.

TOBIJASZ

Scena Liryczna

WEDŁUG PISMA SWIĘTEGO.

PRZEZ

STEFANA WITWICKIEGO.

OSOBY.

Anioł Raphael. W postaci młodzieńca Azaryasza, syna Ananijaszowego.

Tobijasz, Ojciec.

Anna, Żona } Tobijasza.
Tobijasz, Syn }

Sara, Córka Ragela, żona Tobijasza młodego.

Achijor } Cioteczni Tobijasza.
Nabath }

Joach.

Słudzy Tobijasza i Sary.

Lud.

(Rzecz w Galilei, w mieście Nephthali. Miejsce ocienione palmowemi drzewami, przed ubogiém mieszkaniem Tobijasza.)

TOBIJASZ

SCENA LIRYCZNA

WEDŁUG PISMA ŚWIĘTEGO.

TOBIJASZ OJCIEC.

(Starzec ociemniały, wspierający się na kiju. Zbliża się do swego mieszkania.)

Już nie znają mnie te strony.
Próżno błądzę osamiały, *
Próżno wołam dawnéj chwały,
Starzec drżący i wzgardzony.

* Wyraz Biblii. Obacz Słownik Lindego. Wszystkie w téj scenie wyrażenia, któreby mogły komu wydać się osobliwością, są wzięte z Biblii; gdzie oraz język polski jest w swéj największéj czystości i sile. *Przyp. Wyd.*

Oczy Pańskich dzieł nie widzą.
W sercu radość się nie wznieci.
Pokolenia mego dzieci
Z lat i modlitw moich szydzą.

Pókiś Ty był ze mną Panie!
Ze mną były dni wesela,
Ze mną miłość Izraela,
Dla mnie Królów posłuchanie.

Dziś mię prochem wróg narzucił.
Myślę smutno, nieprzytomnie,
Bo zapomniał Pan dziś o mnie,
Od grzesznika twarz odwrócił.

Sprawiedliwyś Ty od wieków Panie,
I wszystkie sądy Twe sprawiedliwe.
Jamto przestąpił Twe przykazanie,
Jam zeszedł na drogi krzywe.

Jam Cię obraził, zdradził: a oto
Tyś przewinieniom moim przebaczył;
Tyś mnie pogardą, nędzą, ślepotą,
Ty, Bóg mój, ukarać raczył.

Błogosławione są Twoje kary,
Twe zagniewanie błogosławione.
Bo jakież drogie będą ofiary
Za Twych wybranych koronę!

TOBIJASZ, JOACH.

JOACH.

Witam cię Tobijaszu. Czas się coraz skraca,
Wszakoż z medskiego miasta syn twój nie powraca.
Lub nie znalazł Gabela, abo pożyczone
Dziesięć talentów srébra nie będą wrócone.

TOBIJASZ.

Pozdrawiam cię Joachu.

JOACH.

Więc krom najemnika
O którym nie powziąłeś nawet sam języka,
Gdzie w kraju Medów góra Ekbatan wyrasta,
Nikt z twym synem nie poszedł do Ragesu miasta?

TOBIJASZ.

Poszedł z nim stróż najlepszy.

JOACH.

Ktoż? Z jakiego stanu?

TOBIJASZ.

Poszła modlitwa ojca, poszła ufność w Panu.
Bądź spokojnym Joachu.

JOACH.

Jeszczeż twoja pycha,
Jak odrzucona gałąź, smutkiem nie usycha?
Czyliż jeszcze nie widzisz, starcze poniżony,
Jako twój Bóg od twojéj odwrócił się strony?

TOBIJASZ.

W Panu wieczna nadzieja.

JOACH.

Zaślepiła ciebie.
Tyś był przy każdym smutku, przy każdym pogrzebie,
A twój pan, w twoim smutku kędyż się zachował?
Tyś na grzech nie przyzwalał, drogi swe prostował,
A twój Pan, jakże twoja wzrusza go niedola?
Twój Pan jak cię ratuje?

TOBIJASZ.

Święta Jego wola!

JOACH.

Tyś w swój dom dzieci, wdowy ubogie przyzywał,
Tyś własnemi szatami nagie przyodziéwał,
Pogrzeb sprawiedliwego chlebem swym zastawiał,
W uczciwości rodzice chował, Pana wsławiał,
Od maluczkich oblicza swego nie odwrócił,
A twój Pan, jak nad tobą dzisiaj się zasmucił?

Jakże ci podał rękę w utrapieniu twoim?
Odstąpił cię, zapomniał!

TOBIJASZ.

On jest Bogiem moim!

JOACH.

Mówili ci: jałmużna nieba nie poruszy.
Tyś mówił: do ciemności nie dopuści duszy.
A w zakonie twój żywot złożony był cały,
A wszystkie rady twoje w Panu przebywały.
Szczéryś był przed nim. On wzdy od ciebie daleki,
Już ci i syna odjął!

TOBIJASZ.

Chwała Mu na wieki!
Abowiem się synami świętych nazywamy,
Abowiem stąd żywota onego czekamy
Który Pan tym zgotował którzy jedni byli,
Którzy od Niego wiary swéj nie odmienili.

JOACH.

Stoisz igrzyskiem ludu; lecz przyjdzie niedługo
Ze wzgardzony, zdeptany, będziesz sług twych sługą.
Będziesz drzewem bez liścia, i dla zawstydzenia
Będziesz bez ręki ludzkiéj, bez czci, bez plemienia.

Wtedy nędzny polegniesz; wargi się twe zdradzą,
I w złorzeczeńiach inszą mowę twą wydadzą.

(*odchodzi.*)

TOBIJASZ

(*sam.*)

O ciesz się duszo. Pana swego czcij!
Ciesz się i raduj w pokutny czas.
Cheruba skrzydłem nad ziemię się wzbij!
Bóg nam przebacza, Bóg karze nas.

On chciał: i nogą przechodzień mnie bił.
On chciał: i własna przeciw mnie krew.
Czcij sługo Pana z wszystkich serca sił.
Błogosław Pana i Jego gniew.

(*klękając.*)

Boże Abrahamów! Izaaków Boże!
Boże Jakóbów! Ty wybrałeś mnie.
Co znieść serce może, i czego nie może,
Nasyłaj Panie! Tobą dusza tchnie.

W Tobie moja siła, ucieczka jedyna.
Jeśli swój piorun w mój wymierzasz próg,
Jeśli Twoja ręka chce mi odjąć syna...
Święć się Twa wola! Boś Ty Pan i Bóg!

(*chwila milczenia.*)

TOBIJASZ I SŁUGA.

SŁUGA

(*prędko przybywając.*)

Panie, panie, radość wielka!

TOBIJASZ.

Jaka radość?

SŁUGA.

Koniec trwogi.
Już zniknęła bojaźń wszelka,
Syn twój luby wraca z drogi.
I małżonkę ma przy boku.
Nowy dzień twój dom oświeci.
Żona twoja ze łzą w oku
Już wybiegła do swych dzieci.
Wielkiéj góry już są bliscy.
Droga ludem napełniona,
Na spotkanie spieszą wszyscy.
Naprzód idą mąż i żona,
Z niemi młodzian je wiodący;
Służebnice w drugim rzędzie,
W trzecim rzędzie są służący:
Teraz inny stan twój będzie.
Także piękne wiodą krowy,
Także muły i wielbłądy,

Na ich grzbietach dar teściowy:
Teraz inne w domu rządy!

TOBIJASZ.

Syn mój!

SŁUGA.

On, poznali wszyscy.

TOBIJASZ.

Ojców moich Boże wielki!
Syn mój wraca!

SŁUGA.

Już są bliscy.

TOBIJASZ.

I synowa!

SŁUGA.

I sprzęt wszelki.
Panie, spiesz, ja cię powiodę.
Co tam szat, co tam pieniędzy!
Chodź przywitać państwo młode.
Pódź naprzeciw, ach pódź prędzéj!

(chce go prowadzić.)

TOBIJASZ

(wznosząc w uniesieniu ręce do nieba.)

Boże! ja niegodny byłem.
Nie w słowach Ci składam dzięki.
Czémże nędzny zasłużyłem
Na opiekę Twojéj ręki!

Ledwieś słuszny gniew otworzył,
Litujesz się swego sługi.
Zaledwieś go upokorzył,
Już nagradzasz bez zasługi!

TOBIJASZ OJCIEC, ANNA Z SYNEM, SŁUDZY.

ANNA.

Mężu! syn nasz, nasze życie!

SYN.

(rzucając się do nóg ojca.)

Ojcze!

TOBIJASZ.

O najdroższe dziécię!

SYN.

Ojcze!

TOBIJASZ.

Wszystko odzyskuję!

SYN.

U twych nóg ze szczęścia płaczę.

TOBIJASZ.

(*podnosi go i przyciska do piersi.*)

Powstań! Niech cię tu uczuję,
Niechaj sercem cię zobaczę!

ANNA.

O jakże się los nasz zmienia!

TOBIJASZ.

Panu! Panu dziękczynienia!

SYN.

Pełne łask są Jego prawa.
Ojcze drogi! matko miła!
Onto syna wam oddawa,
On synowę wam przysyła.

ANNA

(*do męża.*)

Sara, córka Ragelowa. .

SŁUDZY

(*z radością.*)

Tobijasza dziś synowa!

SYN.

I nie tylko wiodę żonę,
Ojcze, więcéj jest wesela
I posag, i od Gabela
Srébro twoje powrócone.
A to wszystko młodzian sprawił
Który mi był przewodnikiem;
On od śmierci mnie wybawił.

TOBIJASZ.

On? I gdzieżeś go zostawił?

SYN.

Idzie tu z weselnym szykiem.

ANNA.

I synowa z nim kochana!

TOBIJASZ.

Bóg cię synu tak oslania.

SYN.

Lecz pójdź ojcze do mieszkania,
Mam lekarstwo od młodziana:
Może pod niém się odtoczy
Noc co więzi twoje oczy.

ANNA.

Mogłożbyto?

TOBIJASZ.

Ojców Boże!
Któż Cię dość uwielbić może!

(odchodzi do mieszkania prowadzony przez żonę i syna, za niemi studzy.)

ACHIJOR, NABATH.
(przychodzą ze strony.)

NABATH.

Czyliż wprawdzie widziałeś?

ACHIJOR.

Wprawdzie mój Nabacie.
Syn to jest Tobijasza.

NABATH.

W tak bogatéj szacie?
I te sługi, te skrzynie z pieniędzmi, z odzieżą,
I muły, i wielbłądy?

ACHIJOR.

Do niego należą.
Wszystko to dary teścia. Bogactwa Ragela
Wszakże znane pomiędzy dziećmi Izraela.
Dom to błogosławiony, bez plamy, bez sromu;
I Tobijasz synowę przyjął z tego domu.

NABATH.

Cieszmy się Achijorze. Snać prawdziwe słowa,
Że Pan nad sprawiedliwym miłosierdzie chowa.
I nie pójdzie w upadek, kto w pokusy stanie
W nim trzyma swoje drogi i swoje ufanie.

(*przybywa lud.*)

ACHIJOR.

Przybywajcie sąsiedzi!

PIÉRWSZY ZLUDU.

Więc Syn mu z powrotem?

NABATH.

Syn z żoną i z darami.

PIÉRWSZY ZLUDU

(*do innego.*)

Bież, mów wszystkim o tém.
Niech się tu wszyscy schodzą; dziś pociecha nasza,
Dzień szczęścia dla miłego brata Tobijasza.

(*kilku z ludu prędko odchodzi.*)

POPRZEDZAJĄCY I SŁUDZY

(*z mieszkania Tobijasza nagle wybiegając.*)

SŁUGA PIÉRWSZY.

Co za radość! co za cud!

SŁUGA DRUGI.

Przybywaj kto tylko żyw!

TRZECI.

Niech się wszystek zbiega lud!

CZWARTY.

Co za radość! co za dziw!

ACHIJOR.

Cożto?

NABATH.

Skądże ten wasz stan?

SŁUGA.

To mógł tylko Bóg, nasz Pan!

ACHIJOR.

Coż?

SŁUGA.

Zwołujcie prędzéj lud!

NABATH.

Coż się stało?

SŁUGA.

Wielki cud!

ACHIJOR I NABATH.

Mówcież!

LUD.

(coraz się więcéj zgromadzając.)

Mówcież!

SŁUDZY.

Łaski rok!
Tobijasz odzyskał wzrok.

(wszyscy w zadziwieniu.)

CIŻ I TOBIJAZ Z ŻONĄ, ZSYNEM I Z SYNOWĄ.

TOBIJASZ

(prędko wchodząc.)

Boże! Na mnieżto spełnione?
Ludu! Czy się snem nie zwodzę?
Widzę! Widzę dzieci, żonę!
Na świat drugi raz przychodzę!
Wielki ojców moich Panie!

ANNA.

Mężu!

TOBIJASZ MŁODY I SARA.

Ojcze!

TOBIJASZ.

Sród was stoję!
Boże! jakże sił mych stanie,
Bym uwielbił łaski Twoje!

LUD

(*z radością.*)

Tobijaszu!

TOBIJASZ.

Bracia mili!
Patrzcie jaki cud się spełnił.

LUD.

Obietnicę Bóg wypełnił,
Słowo jego nie omyli.
Sprawiedliwy wzniesion będzie,
Podźwignie go ręka Pana.

TOBIJASZ.

Gdzież? Nie widzę tu młodziana.
Onto boskich łask narzędzie.

ANNA.

Mówcie, jakąż mu zapłatą
Dary jego nagrodzimy!

(*ściskając Sarę.*)

Jemu winniśmy to dziécię.

SYN.

Jemu ojca uzdrowienie.

TOBIJASZ.

(*przyciskając syna.*)

Jemu syna powrót, życie.

SARA.

Wszystkich nas uszczęśliwienie.

TOBIJASZ.

Jakże go nagrodzim za to?
Czémże wdzięczność mu złożymy?

SYN.

Mnie się zdaje, ojcze miły,
By wszystko co posiadamy,
I rzeczy co dawniéj były,
I od teścia rzeczy nowe,
By wszystko co tylko mamy,
Co nam służy do użytku
W sługach, szatach i dobytku,
Podzielić z nim przez połowę.

TOBIJASZ.

Powiédz żono.

ANNA.

Ja się zgadzam.

TOBIJASZ.

Saro!

SARA.

I ja toż doradzam.

TOBIJASZ.

A więc tak, co tylko mamy,
Co tylko dziś posiadamy...

ANNA, SYN I SARA.
(z wdzięcznością.)

Przez połowę mu oddamy!

TOBIJASZ.

Ale gdzież on?

CIŻ SAMI I ANIOŁ RAPHAEL.

LUD.

Dniu wesela!

INNI ZLUDU.

Jaka jasność jego czoła!

(wszyscy w mimowolném podziwieniu zwracają wzrok na młodzieńca. Chwila milczenia.)

ANIOŁ

(zbliżając się.)

Boga, świata stworzyciela,
Błogosławcie w każdy czas!
Onto przez swego Anioła,
Przez emnie nawiédził was.
Anioł Raphael! Ja sam!

WSZYSCY

(padając na ziemię.)

Święty! Święty!

ANIOŁ.

Pokój wam.
Jednego z siedmiu widzicie,
Którzy stoimy przed Panem.
Tobijaszu! gdyś swe dziécię
Widział sobie odebraném,
I żal ofiarował Bogu;
Gdy sieroty z ubogiemi,
Witałeś u swego progu;

Kiedyś porzucał biesiady
By umarłych oddać ziemi;
Gdy cię ani chytrych rady,
Ani bezbożnych roskosze,
Z drogi która nakazana,
Od zakonu nie odwiodły;
Wtedy ja sam twoje modły
Niosłem w miłosierdzie Pana,
Jak teraz wdzięczność zanoszę.

(Anioł unosi się w światłości. Lud cudem uderzony, zostaje obliczem na ziemi. Po chwili Tobijasz głosem uroczystym.)

O! wzbij się duszo do dzieł niepojętych.
Na ciebie jasność Serafów wylana.
Zapal się ogniem Wybranych i Świętych.
Głoś chwałę Pana.

Błogosławionyś na nieba stwierdzeniu.
Błogosławiony na okręgu ziemi.
Podałeś sławę swojemu Imieniu,
Przed dziećmi swemi.

Błogosławionyś w kościele Twéj chwały.
Błogosławiony w słońcach na Cherubim.
Przed Twą wielkością drży niebo, świat cały,
My w proch się gubim.

Błogosławionyś Boże Ojcze ludów.
Czas, przestrzeń, miejsce, powietrze, otchłanie
Jasność i ciemność Twoich pełne cudów,
Syonu Panie!

Błogosławionyś Ojców Boże dawny,
Najwyższy w chwale, w łaskach niezmierzony,
Najświętszy, wieczny, jedyny, przesławny,
Błogosławiony!..

Więc wprzód niech obcy tę ziemię posiędzie;
Wprzód, pogrzebania i czci pozbawiony
Proch kości moich, niech w przekleństwach bę-
dzie
Wiatrom rzucony;

Więc wprzód w upadku niech świat się zagrzebie
Z słońca noc wyjdzie; niźli w jakiéj porze
Zapomnę Ciebie, i nie uczczę Ciebie,
Ojców mych Boże!

(*objawia się niebieska światłość. Wszystek lud korząc się na ziemi, woła w uniesieniu.*)

Błogosławionyś Ojców Boże dawny.
Najwyższy w chwale, w łaskach niezmierzony,
Najświętszy, wieczny, jedyny, przesławny,
Błogosławiony!

LASKA PROROKA

LEGENDA

PRZEZ KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO.

Nieszczęsna Sunamitka ze łzami zaklina
Proroka Elizego by wskrzesił jéj syna.
Lecz Prorok pójść rozkazał słudze Gehazemu,
Mówiąc: "opasz twe biodra i pójdź do Sunemu,
Dotknij ciała tą laską, a jeśliś szczęśliwy,
Jeśli czujesz i wierzysz, syn jéj wstanie żywy."
Wnet Gehazy z radością w drogę się wyprawił,
Bo dawno pragnął, aby cudami się wsławił.
I gdy mu lud zabiega i ciekawie bada,
"Zmarłego idę wskrzeszać" dumnie odpowiada.
Więc z miast i włości za nim lud ciśnie się w tłoku,
Wołając: "będziem widzieć cud w nowym proroku!"

Nowy prorok w tryumfie do Sunemu dąży,
A ujrzawszy zmarłego, w koło go okrąży;
Z powagą kładzie laskę na umarłe ciało.
Ale dziécię ni głosu, ni tchu nie wydało.
Daléj, przytyka laskę ku ustom, ku czołu,
Odwraca w lewo, w prawo, od wiérzchu, od dołu,
Dziécię zimne i martwe — i tak zamiast cudu,
Stanął zawstydzon w pośród szydzącego ludu.
W krótce Prorok Elizej przybył do Sunemu,
I z miejsca odejść kazał ludowi wszystkiemu.
I modlił się zamknięty. Wziął dziécię na dłonie,
I w gorącém objęciu tulił przy swém łonie;
Usta do ust i piérsi do piérsi przyłożył,
I póty tchem swym krzepił, aż w zmarłém duch ożył.
Niczém sama chęć chwały, nauki i wzory,
Gdzie wewnątrz niéma czucia i ducha pokory;
Bez nich wiary, ni cnoty, ni sztuki nie będzie.
Naprożno z dłoni mistrza odbiérasz narzędzie,
Byś jak on cuda działał; jeśli ogniem świętym,
Jako on, z woli nieba nie jesteś natchniętym.

DUMANIE O BOGU

PRZEZ

ANTONIEGO GORECKIEGO.

Któż to jest taki co te światy stworzył?
Co tyle cudów udziałać był w stanie?
I kto grunt jego potęgi założył?
Nie raz ja sobie czynię to pytanie.

Nie raz myśl moja pędem błyskawicy,
Dążąc do nieba loty nieścigłemi,
Rozumów ludzkich dotknęła granicy,
I znów musiała powracać do ziemi.

Boże mój! Boże! niepojęty wiecznie!
Przebacz mi, przebacz uniesienia moje,
Że tego Pana chcę poznać koniecznie,
Który mi codzień zlewa łask swych zdroje.

Gdy na te gwiazdy świécące w noc ciemną,
Gdy na to słońce oczy moje zwrócę,
Które już tylu widziało przedemną,
I tylu ujrzy gdy się w proch obrócę;

Pytam was, pytam, o wy ziemni ludzie!
Czyliż przypadek mógł to wszystko zrządzić?
Miliony światów, niepojęty cudzie!
Krążą, i nigdy nie wolno im zbłądzić.

Mogłoż się wszystko w powietrzu i w wodzie
Samo utworzyć? ta ziemia, te nieba? —
By to utrzymać w takiéj dziwnéj zgodzie,
Do tego nawet Boga już potrzeba.

Próżno szyderstwem pokonać mię chcecie.
Kładźcie mię w słabych, w nabożnisiów rzędzie,
Odmówcie miéjsca Mu na całym świecie,
Zawsze Bóg mieszkać w mojéj duszy będzie.

Przyjdzie ta chwila, nie minie nikogo,
Kiedy śmierć władzę swą rozciągnie srogą,
Gdy wsparcia ludzi wymagać daremnie;
Westchnie przyjaciel i wyjdzie odemnie.

Od grobu mego i żona się wróci,
Dziatwa zapłacze, potem się przesmuci;
Któż wstąpi za mną w to ciemne mieszkanie?
Twoja opieka, mój wieczysty Panie!

Naprożno mędrce, wy! z twarzą surową,
Straszyć mię chcecie, że nie mogę ożyć.
Czemuż mię wskrzesić nie może na nowo,
Ten który zdołał z niczego mię stworzyć!

Lecz jaki powód, jaki cel? mówicie.
Ja wiém żem jemu niepotrzebny na nic....
Lecz że on dobry, potężny, widzicie,
A moja wdzięczność i ufność bez granic.

Ach! tak jest, śmierci gdy bramę otworzą,
Ufam że ujrzę Ciebie bez wątpienia;
Lecz nim przed Tobą stanę wielki Boże!
Wysłuchaj modłów twojego stworzenia.

Daj mi bydź dobrym, daj bydź sprawiedliwym,
Niechaj me chwile użytecznie płyną;
Niech płochą mową, czynem niegodziwym,
Nie będę nigdy zgorszenia przyczyną.

Choć największego oddal blask znaczenia,
Gdy mam bydź przez nie narzędziem ucisku;
Ani takiego dopuść poniżenia,
Bym kiedy prawdy wyrzekł się dla zysku.

BIEDNA MARYNIA *

PRZEZ

W..... M .....

Czarném w śród nocy nękana marzeniem,
Przed snami nawet zmuszona uciekać,
Wstała Marynia, i z ciężkiém westchnieniem,
Poszła na górę wschodu słońca czekać.
Na piérwsze całéj natury ocknienie,
Tkliwie się w gniezdzie ozwał ptaszek mały,
Matka mu słodkie niosła pożywienie;
Oczy Maryni łzami się zalały...

* Naśladowanie.

" O! jakże, rzekła, szczęśliwie żyjecie!
Czemuż ja nigdy matki méj nie znałam?
Nic nié mam mego na tym wielkim świecie,
Kolébki nawet nie miałam.

Na tym kamieniu, u drzwi téj kaplicy,
Tu mnie znaleźli porzuconą srodze.
Tu ja, z téj wioski do Boga Rodzicy,
Po łzy pociechy przychodzę.

Nikt mnie tam w swojéj nie chce znać rodzinie,
Nikt cierpiącemu sercu nie odpowie,
I żadne dziécię w téj całéj dolinie,
Siostrą mnie swoją nie zowie.

Widzę ich zdala wieczorne uciechy,
Patrzę na ojców i matek pieszczoty,
Ale nikt do swéj nie zawoła strzechy,
Biédnéj, nieszczęsnéj sieroty.

Tutaj więc, tutaj idę z łzami memi.
Kaplico! ty mi świat ten zastępujesz.
Ty mi się jedna otwiérasz na ziemi,
Ty mnie jak córkę przyjmujesz.

Ileż ja razy nad tym głazem płaczę,
Tu gdziem przez matkę porzuconą była;
Patrzę czy śladu łez tych nie zobaczę,
Które tu może roniła.

Nieraz ten cmentarz błędną zwiedzam nogą,
Co w innych wzbudza tyle uczuć rzewnych;
Ale cóż groby obchodzić mnie mogą?
Ja i w grobach niémam krewnych.

Ach! połóż koniec mojemu ciérpieniu.
Nigdyż cię, nigdy, nie ujrzę w mém życiu?
Wróć matko! czekam cię na tym kamieniu,
Gdzieś mnie rzuciła w powiciu."

Na tém ucichły jéj skargi i żale,
I wszystkie razem ciérpienia i troski.
I już jéj odtąd nie widziano wcale,
Ani na górze ani w pośród wioski.
Mówią w niéj tylko, że po kilku latach,
Jakaś nikomu nieznana niewiasta,
Z zakrytą twarzą, i w żałobnych szatach,
Przybyła do niéj z dalekiego miasta.
Z łzami o cmentarz pytała wieśniakow;
Poszli z nią pełni uczynnéj ochoty,
Lecz już nie mogli, w pośród traw i krzaków,
Rozpoznać grobu sieroty.

TREN OMMII

NADOLINIE BEDER. *

DUMA.

Wznoszą się kurzu tumany,
Skrzypią wozy karawany,
Wracającéj do ojczyzny;
Wrą skwarem głuche płaszczyzny;
Upadając w ciężkim trudzie
Mdleją wielbłądy i ludzie.

* Dolina *Beder* sławna jest w historyi Mahometa. Tam najpiérwszy raz na poparcie swojéj nauki podniósł oręż, i od zwycięstwa w tém miejscu odniesionego, poczyna się szereg jego tryumfów. Wypadek w téj dumie zawarty jest historyczny. *Ommia* naczelnik znakomitego pokolenia miasta Meki, wracając z Syryi i przechodząc przez dolinę Beder, wynurzył żal swój w elegii, któréj mały ułomek przytacza Abul-Feda, i padł bez życia na zwłoki i kości swoich ziomków.

Ale Beder niedaleko;
Już go widzą z uniesieniem;
Tam zdrój czysty; tam przed spieką,
Palmy ich okryją cieniem.
Wszystkich więc sił natężają,
Spragnieni tak drogiéj chwili;
Już się nareszcie zbliżyli
I swobodniéj oddychają;
Spiekłe usta odwilżyli,
I pod cieniem spoczywają.
Któż ten starzec zapłakany? —
To Ommia, Pan karawany;
Przechadza się po dolinie,
I zdrój łez z ócz jego płynie.
Po kim Ommia te łzy roni? —
Czyli skarby swe utracił?
Czyli zbojeckiéj pogoni,
Zbyt drogo życie opłacił?
Onby chętnie swój zysk cały
Oddał napastnéj drużynie,
Perły rzucił na pustynie,
Aby je wichry rozwiały;
Gdy na Bederu dolinie
Widzi grób ojczystéj chwały;
Widzi zwłoki rozrzucone,
Widzi kości pobielone.
"Kogo twoje oczy płaczą?"
Zapytali towarzysze.
On krzyknął, patrząc z rozpaczą:
— "Od wasze to głos ten słyszę?
Wyż to mnie o łzy pytacie?

Czyż tego miejsca nieznacie?
Czy nieznacie téj doliny
Gdzie błyskał oręż proroka
Gdzie szlachetne Meki syny
Kryje mogiła széroka?
  Tu raz piérwszy dla swéj wiary
Bezbożne podniósł sztandary
Tu hufce duchów przyzywał;
Pod tą palmą okazałą,
Zgubną nam okryty chwałą,
Po zwycięstwie odpoczywał.
  Dla kłamstw ubranych w natchnienie,
Własne źródło krwią zamąca;
Dzikim mieczem w wieczne cienie,
Ziomków zsyła, braci wtrąca.
W imie Boga stacza boje;
Nim w pierś wleje wiarę swoję,
Wprzód sztyletem ją otwiéra.
Pada lud na jego drodze;
A téj klęsce, téj pożodze,
I niebo się nie opiéra.
  Niebo z nami bydź przestaje,
Odwróciło swe oblicze;
Jemu, jemu tylko daje
I tryumfy i zdobycze.
Jak od strzelca łani dzika
Od nas zwycięstwo unika.
  Próżna była twoja cnota
Nieporównany Walidzie!
I śmierć twoja mężny Otha!
I twe rany Sabaidzie!

Próżno, próżno zagrzewałem
Najzacniejszych Meki synów,
Kiedy spieszyli z zapałem,
Do zwycięstwa, do wawrzynów.
Teraz leżą na téj ziemi,
I teraz... płaczę nad niemi.
O wy matki nieszczęśliwe!
Z czołem ku ziemi schyloném,
Złączcie łzy i skargi tkliwe
Z mym żalem nieutulonym.
I wy żony! hymn żałoby
Zacznijcie wraz ze mną śpiéwać,
I te kości, i te groby
Przyjdźcie łzami swémi zléwać.
Meko! jak się los twój zmienia!
Kto płacz dzieci twych ukoi?
Gdzie są wodze pokolenia,
Gdzie obywatele twoi?
Błyszczą kości ich pod niebem
Niezaszczycone pogrzebem.
Meko! Meko opłakana!
Nie znajdziesz nigdy mściciela;
Uznacie nowego Pana
Święte mury Izmaela.
Starzy, młodzi, wszyscy legli,
Coby za was na śmierć biegli!
Wypłakałem już łez zdroje,
Lecz mój głos nieznany ginie;
Tylko głuche te pustynie
Zdają się czuć boleść moję!"

Rzekł — i stał nieporuszony;
Trzymał długo wzrok wlepiony
W martwe szczątki, w nieme zwłoki,
Które ujął sen głęboki;
Nagłą boleścią przejęty,
Padł, obrócony do Meki,
Wydał z piersi jęk przecięty,
I umilkł — umilkł na wieki.

J.... K.....

ZOSIA NA CMENTARZU

POWIEŚĆ PRAWDZIWA.

W smutnéj zagrodzie, w ustroniu ponurem,
Kędy ów jawór wysoki,
Cmentarz wysokim otoczony murem,
Zwrócił do siebie me kroki.

Weszłam, uklękłam, i łzami wspomnienia
Suchą murawę skrapiałam;
Wznawiając w myśli srogich strat cierpienia,
Obcéj niedoli płakałam.

W tém mi się z boku ukaże dziecina
Trzymając suchych róż pączki;
Piękna jak piérwsza poranna godzina,
Wyciąga do mnie swe rączki.

Biorę ją, ściskam... ściska mię, w tém rzewnie
Tuląc się do mnie, zapłacze...
"Czegóż ty płaczesz? — „Ach! bo nie wiém pewnie,
Kiedy już mamę zobaczę."

Stara niewiasta okryta żałobą
Chciała wieść dziécię do bramy,
„Nie, nie!.. zawoła, ja nie pójdę z tobą,
Wprzód zbiorę kwiatków dla mamy.

— "Czemuż tu szukasz kwiatków? wszak obfite
"Znajdziesz w nie gaje, ogrody;
"Rosną tam róże jeszcze nierozwite,
"Podobne tobie z urody."

— "Prawda, odpowié, w ogrodzie za płotem
"Codzień kwiateczki zbieramy,
"Jak Zosia grzeczna, to Justyna potém
Pozwala zanieść do mamy." —

— "Gdzież twoja mama? Zosiu moja droga." —
Dziécię żałośnie westchnęło.
Podniosło oczy i rączki do Boga,
I znowu płakać zaczęło,

A potém nagle do grobowca bieży:
"Patrz! w tym wysokim ogródku
"Tu Oleś leży... i tu Oleś leży,
"A tutaj mama we środku.

" Ja nie dostanę...jeszczem nie wyrosła,
" Ale kiedy mama żyła,
" Codzień bywało nad mur mię podniosła,
" Bo codzień tu przychodziła." —

— „ Czegóż tu mama chodziła?" spytałam.
— " Modlić się, płakać na grobie.
" Czasem ja z mamą za braćmi płakałam,
" Czasem bawiłam się sobie.

" Mamę schowali... ja przyszłam z Justyną,
Bo nie chcę bawić się sama;
I codzień będę chodzić tą drożyną,
Póki nie spotka mię mama." —

— " Wszak ja twa matka, dziécię ukochane,
" Patrz na mnie, ja to, ja sama!.."
Spójrzało dziécię, i łzami zalane
Zawoła: „ Nie, ty nie mama."

— " Jednak pójdź ze mną; sam Bóg mi cię zdarza
" Pójdź ze mną, córko ty moja!"
Lecz dziécię jedno i jedno powtarza:
" Jam córka mamy, nie twoja.

Tyś także dobra, ja pójdę za tobą
Pokażę gdzie my mieszkamy;
Ale mnie codzień, codzień weźmiesz z sobą,
Jak tutaj przyjdziesz do mamy.

Felicija Miechowiczowa.

OSTATNIA PRACA.

DUMA.

Przez zarośle i zagony
Dążył starzec pochylony;
Wdzięcznie na swój kij poziérał,
Który ciężkie lata wspiérał.
Szedł powoli; czerstwość, siły,
Wiek i trudy osłabiły,
I znoje ran, odebranych
W bitwach dawno zapomnianych.
Codzień drogę tę odbywał,
I niósł rydel na ramieniu;
Na cmentarzu odpoczywał,
Potém kopał grób w milczeniu.
A gdy się ręce strudziły,
Znowu pod drzewem u siadał,

I narzędzie u nóg składał,
I pokrzepiał wątłe siły.
Tak raz siedząc, oko mgliste
Wzniósł i patrzył w niebo czyste,
Jakby szukał wśród przestrzeni
Zbiegłych z ziemi lubych cieni;
A przejęty rozrzewnieniem,
Podniósł cichy głos ze drżeniem,
I gdy pamięć życia wznawiał,
Z samym sobą tak rozmawiał:
"Wieczór schodzi na doliny,
Słońce ginie za górami;
Rosa skrapia liść wikliny,
Lekki wietrzyk tchnie woniami.
Wszystko milczy, wszędzie głucho,
Ruch już ustał, znika życie;
Słyszy tylko moje ucho
Głośne serca mego bicie.
Jak przytułek ten szanowny!
Jak poważne myśli budzi!
Tu kres biegu nieodzowny,
Tu dziedzictwo wszystkich ludzi.
"Tu prowadzą wszystkie drogi,
Tu nas pędzą skrzydły swemi,
Chwile szczęścia, chwile trwogi,
Troski życia, żądze ziemi.
Witaj więc duchów przedsieniu!
Spokojny umarłych grodzie!
Utrudzony w swym zawodzie,
Chętnie spocznę w twém schronieniu.

Już z roskoszą przesiaduję
Na twojém ojcowskiém łonie;
Tu się w swéj ojczyznie czuję,
Gdzieindziéj jak w obcéj stronie.
Ach! przeżyłem lat tak wiele!
Tylem widział zmian na ziemi;
Krewni, bracia, przyjaciele,
Pod grobami śpią cichemi.
Już ich głos mój nie ocuci....
Lecz się pocieszam znękany
I mnie wkrótce fala rzuci,
Na brzeg obcy i nieznany.
Ziemia do mnie nie należy,
Bliski zachód mego słońca
Kilka jeszcze łez ubieży,
Kilka westchnień mam do końca.
Wszystkie mary méj młodości,
Wszystkie serca ułudzenia
Rozkosz chwały, wdzięk miłości,
Znikły jak wczorajsze brzmienia.
Mignął się lat szereg mnogi
Jak chmurka, którą wiatr spłoszy;
Spełzły z téj przelotnéj drogi
Ślady cierpień i rozkoszy.
I ledwie kilka pamiątek!
Ach! takiż z bujnego żniwa,
Z plennych kłosów, lichy szczątek,
W pośród cierniu się ukrywa!" —
Umilkł — i zroszony łzami
Kopał drżącemi rękami;

A gdy się ręce strudziły,
Znowu pod drzewem usiadał,
I narzędzie u nóg składał,
I pokrzepiał wątłe siły.
Codzień, gdy wieczorne cienie
Rozchodziły się po ziemi,
On to ostatnie schronienie
Kopał rękami własnemi.
I tak go raz znaleziono
Z głową ku niebu wzniesioną;
Ale oczy miał zamknięte,
Usta sine i ściśnięte;
Ucichł i dźwięk jego mowy,
I grób przy nim był gotowy.

J.... K.....

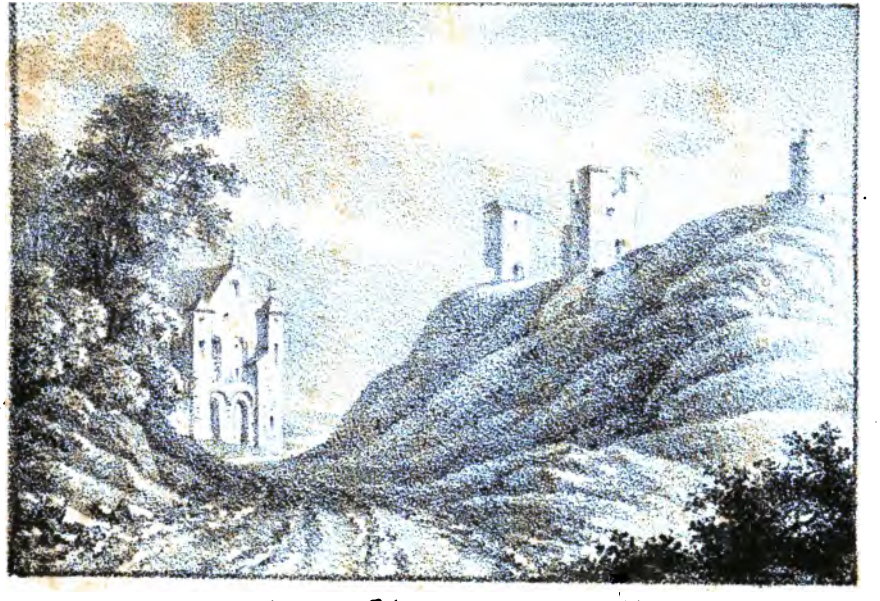

Ruiny Zamku w Nowogródku.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

O ZAMKU NOWOGRÓDZKIM.

Na początku XIII wieku, w r. 1217. Montwiłł Gimbutowic Xiąże Żmudzki, korzystając z wtargnienia Tatarów do Rusi, przedsięwziął wyłamać się z pod sąsiedniéj Xiążąt Ruskich przewagi i uwolnić się od corocznego haraczu, który przez wiele lat do Kijowa posyłał. Zebrawszy więc znaczne siły, tak z dziedzicznych ziem swoich Kurońskiéj i Żmudzkiéj, jako też z Litwy, przez osobnego Xiążęcia Zywibunda rządzonéj; wysłał je pod sprawą syna swego Erdziwiłła, dla burzenia zaniemeńskich Xięstw Ruskich. A gdy się w porządnym szyku, na tratwach z kłód wiązanych, całe wojsko przeprawiło za Niemen, zna-

leziono we cztérech milach, jak mówi Stryjkowski, górę kraśną i wyniosłą, na któréj był piérwéj zamek stołeczny Xięcia Ruskiego, Nowogródek, przez Batego przed niedawnym czasem zburzony. Tam zaraz Erdziwiłł założył sobie stolicę, i zamek na nowo zbudował; a opanowawszy bez oporu wielką część wyludnionéj przez Tatarów Rusi, zaczął się pisać piérwszym wielkim Xiążęciem Ruskim Nowogródzkim.

Po śmierci Montwiłła, młodszy syn jego Wikint wstąpił na Xięstwo Żmudzkie i Kurlandzkie; Żywibund panował wciąż nad całą właściwą Litwą, między rzékami Wilią i Niewiażą zawartą, Erdziwiłł zaś pozostał na Xięstwie Nowogrodzkiém i na innych zamkach Ruskich i Podlaskich, które bez przerwy zdobywając, granice swoje od Wilii aż do Mozyrza rozciągnął.

Wkrótce po ustaleniu potęgi Erdziwiłła, Kajdan Han Zawolskiéj hordy, wszystkich już innych Xiążąt Ruskich do posłuszeństwa sóbie i opłaty corocznego haraczu zmusiwszy, przysłał na zamek Nowogródzki Baskaki albo poborce swoje, z groźném dopomnieniem się o podobną ze strony Erdziwiłła uległość. Erdziwiłł rozkazał przynieść dwie strzały, i oddając je posłom: "oto jest mój haracz, powiedział; jeżeli się waszemu Hanowi podoba, w boju poślę mu

więcéj.". Jakoż zebrawszy z Litwy i ze Żmudzi posiłki, ciągnął z niemi tajemnie ku Mozyrzu, gdzie przy ujściu Prypeci do Dniepru, sam Han obozem leżał. Całą naówczas bronią Litwinów był łuk prosty, szabla zaledwo u wodzów, włócznia, kij opalony, proca kręcona i maczuga; całém uzbrojeniem niewyprawne skury żubrze, łosie, niedźwiedzie lub wilcze; liczba także Tatarów znacznie przewyższającą była; nie oparli się jednak dzielnemu a niespodziéwanemu uderzeniu Litwinów. Sam Han w szczupłym orszaku ledwo się uratował ucieczką. Niezmierna liczba Tatarów poległa na placu, lub potonęła w Dnieprze i Prypeci. Była to piérwsza klęska, któréj Tatarowie od wtargnienia do Rusi doznali; było to piérwsze nad nimi zwycięstwo Litwinów. Erdziwiłł w tryumfie po niém do Nowogródka wróciwszy, pełen lat i chwały, życia tamże dokonał.

Mało co przedtém, umarł téż brat jego Wikint, Xiąże Zmudzki. Dziedzictwo po nim należało Erdziwiłłowi, lecz gdy mu rychła śmierć wejść w nie nie pozwoliła, objął je Zywibund Xiąże Litewski, i tymsposobem dwie dotąd osobne dzielnice, Żmudź i Litwę, pod swoje panowanie połączył. Jedno tylko Xięstwo Nowogródzkie utrzymywało się oddzielnie; nastąpił na nie po Erdziwile, syn jego Mingajło. Ten obrażony

Utenus, syn Kukowojta a wnuk Zywibunda, Xiąże na Żmudzi i Litwie umarł, i syna swego Swentoroga w dzieciństwie jeszcze będącego, w opiekę Ryngoltowi poruczył. Tak więc Ryngolt, oprócz wielu dziedzicznych Xięstw Ruskich, ujrzał się nagle, jako opiekun, panem całéj Żmudzi i Litwy, i piérwszy zaczął się pisać Wielkim Xiążęciem Litewskim, Żmudzkim i Ruskim.

Na tak nagły wzrost potęgi Ryngolta, nie mogli patrzéć obojętnie Xiążęta Ruscy, mianowicie Światosław, Wielki Xiąże Kijowski, który sobie zwierzchnictwo nad całą Rusią przywłaszczał. Wezwawszy więc pomocy Xiążąt: Lwa Włodzimirskiego i Dymitra Druckiego, wspierany nadto znaczną liczbą Tatarów, których mu zawzięty na Litwę Kurdas dostarczył, przedsięwziął Światosław odzyskać trzymane dotąd przez Ryngolta Xięstwa Ruskie, i całą Litwę do płaconego niegdyś Xiążętom Kijowskim haraczu na nowo przymusić. Ale inaczéj się stało. Pod Mohilną nad Niemnem, zaszła stanowcza całą dobę trwająca bitwa, w któréj męztwo i szczęście Litwinów, nad liczniejszym daleko nieprzyjacielem najzupełniejsze odniosły zwycięztwo. Światosław, Dymitr i Lew Xiążęta, zaledwo się ratowali ucieczką; nawet podług innych dziejopisów, wszyscy trzej na placu polegli. Ryngolt

z wielkiemi łupami do Nowogródka powrócił, "i tak tą wojną, mówi Stryjkowski, wieczny pokój w swych państwach sobie ugruntował, iż mu potém Xiążęta Ruskie z daleka biły czołem, po szkodzie mędrszymi będąc."

Za panowania Ryngolta, Kawalerowie Mieczowi podbili Inflanty, skąd Żmudź i Litwę najeżdżać zaczęli. Były to piérwsze zatargi z Niemcami, którzy wkrótce ze strony Prus, mieli stać się najstraszniejszymi Litwy nieprzyjaciołmi. Mężnie odpierał ich Ryngolt, a umierając w późnéj starości, syna swego Mendoga albo Mindowę, ze szkodą poleconego swéj opiece Swentoroga, na wielkiém Xięstwie Litewskiém, Zmudzkiém i Ruskiém dziedzicem po sobie uczynił.

Za tego to panowania Nowogródek doszedł do najwyższéj świetności; stał się stolicą Królestwa.

Chciwy tytułu Króla a bardziéj jeszcze samowładnego nad całą Litwą panowania Mindowe, czując nieprawność swego na państwo Litewskie następstwa, okrucieństwem pokrywał swą bojaźń, a przez bojaźń drugim wrażaną chciał swą władzę ustalić. W tym téż celu zabrawszy trzem swoim synowcom przynależne dzielnice, zmusił ich, iż zgromadziwszy wojsko z Litwy i ze Zmudzi, wtargnęli z niém do dalszéj Rusi, nowych tam państw dla siebie szukając. Udało się

przedsięwzięcie; Towciwił został Xięciem Połockim, Wikint Witebskim, a trzeci brat ich Erdziwił opanował część Xięstw Smoleńskiego i Druckiego.

Wszyscy trzéj słusznie zażaleni na stryja, ustaliwszy się na swych państwach, zwierzchnictwa jego uznawać nie chcieli. Obrażony Mindowe, liczne przeciw nim wojsko wyprawił; zagrożeni, uciekli się o pomoc do Daniela Romanowicza, świeżo Królem Ruskim obwołanego, i wezwali Krzyżaków Inflantskich; a pogromiwszy z ich pomocą wysłane przeciw sobie wojsko Mendoga, wojnę w kraj jego przenieśli. Zagrożony z kolei Mindowe, za radą Mistrza Inflantskiego, wysłał do Innocentego IV Pap. oświadczając chęć przyjęcia chrztu, jesliby mu on koronę Litewską zapewnił, i zabezpieczył od napaści Krzyżaków, którym za to Mindowe ziemię Żmudzką i wiele innych ziem wiecznym darem zapisać obiecał.

Na polach Nowogródzkich, pod otwartém niebem, odbyła się w roku 1252 sławna w dziejach Litewskich uroczystość chrztu i koronacyi Mendoga. W obec tłumnie zgromadzonego ludu, przy rozwinionych wszystkich ziem Litewskich chorągwiach, w towarzystwie przybyłych na ten obchód: Arcybiskupa Ryskiego, tudzież wielu Pruskich i Inflatskich Krzyżaków, wystąpił na środek Mindowe, w gronie piérwszych Boja-

rów i Rycerzy Litewskich, i z rąk Papiezkiego Legata, zakonnego brata Heidenricha, naówczas Biskupa Chełmińskiego w Prusiech, chrzest święty i wespół z nową koroną, pomazanie na królestwo Litewskie otrzymał, i tegoż dnia, niejakiego Witusa piérwszym Biskupem Litewskim mianował.

Niedługo jednak Mindowe w nowéj wierze pozostał; skoro albowiem grożące mu od Krzyżaków i Rusi niebezpieczeństwo minęło, żałując ustąpionych Krzyżakom krajów, wyrzekł się tytułu Króla i w roku 1255 jawnie do bałwochwalstwa powrócił; darowane ziemie odebrał, i sąsiedzkie, mianowicie ziemię Lubelską i Mazowsze, okrutnie pustoszyć zaczął, a zabrane z nich łupy odesławszy do Litwy, wtargnął w dzierżawy Krzyżaków Pruskich, gdzie wszystkie prawie nowozałożone miasta i wiele obronnych zamków w perzynę obrócił.

Przez wiele lat następnych niemniéj krwawe i niemniéj dla siebie pomyślne napady ponawiał, aż w reście w r. 1263 przez siostrzeńca swego Trojnatę, i mszczącego się za porwanie żony Dowmunta, Zanalszawskiego Xiążęcia, wraz z dwoma swemi synami Ruklą i Repikassą, zdradziecko zamordowany został. Po śmierci Mendoga Litwa wpadła w odmęt i zamięszanie. Zabójca jego Trojnat opanował władzę i tytuł

W. Xięcia, lecz wkrótce przez Wojsiełka syna Mendoga, który się był w Czerńce postrzygł, zdradą na łowach pojmany i zabity, z kolei państwa zabojcy swemu ustąpił.

Wojsiełk w dzielności i okrucieństwie godny syn Mendoga, po wielekrotnie Mazowsze, ziemię Lubelską i Prusy zniszczywszy, wyprawił się na Wołyń, przeciw Lwu Danielowiczowi, od którego w czasie rozejmu, zdradnie we Włodzimierzu zabity.

Natenczas zjechali się do Kiernowa przedniejsi panowie Litewscy, i zgodnie Swentoroga syna Utenusowego, niegdyś prawego Litwy i Żmudzi dziedzica, w 96 roku życia na Wielkie Xięztwo Litewskie, Żmudzkie i Ruskie podnieśli. Odtąd Nowogródek przestał bydź nietylko stolicą Litwy, ale nawet i Xięstwa Ruskiego, które przez wcielenie do Litwy osobny swój byt straciło. Zamienił się we własność prywatną różnych z kolei Xiążąt, którzy się w dalszych czasach rozmaicie Litwą dzielili. W r. 1314 i 1390 po dwakroć przez Krzyżaków zniszczony, skutkiem czasu i zaniedbania, upadł nakoniec w gruzy i zaledwo teraz w małych, na wizerunku wyrażonych szczątkach, dawną swą przypomina świetność.

WIECZÓR ŚWIĘTEGO JANA

BALLADA *

Baron Smajlomu, wyjechał z domu,
Zorzę uprzedziwszy wschodzącą,
Śpiął konia ostrogą, i puścił się drogą
Do Brodderstonu wiodącą.

Nie gdzie na czele walecznych szyków,
Napaściom stawiąc odpory,
Odważny Buklej we krwi Anglików,
Góralskie broczył *klajmory*;

* Z Waltera Skota.

A jednak był zbrojny, jak gdyby do wojny,
Żelazem od stóp do głowy;
Kopiją niósł w ręku, u siodła na łęku,
Zawiesił topór stalowy.

Trzeciego dnia Baron powrócił do siebie,
Posępny na twarzy i w oku.
Koń jakby w wojennéj znużony potrzebie,
W powolnym się nawet chwiał kroku.

Powrócił do dworu; lecz nie z Ankram-moru,
Gdzie sławny zwycięztwem i mordem,
Zwiódł bój Duglas mężny, i Buklej potężny,
Z Ewersem Angielskim lordem.

Jednak miecz złamany i hełm miał zrąbany,
I na zbroi miecza znać blizny.
I topór i sztylet krwią świeżą był zlany;
Lecz nie krwią wrogów ojczyzny.

Zsiadł z konia; obszedł, spójrzał do koła,
Czy kto nie słucha za ścianą;
I trzykroć w piszczałkę na pazia zawoła.
Wiliam Will było mu miano.

"Przystąp, bądź śmiały, paziu mój mały!
Wiém, że niewinny i młody,
Kochasz mię szczerze; ja tobie wierzę.
Dziś daj wierności dowody.

"Mów co widziałeś, mów co słyszałeś,
A nic mi nie kryj tajemnie;
Mów co robiła, mów gdzie chodziła,
Moja tu żona bezemnie? — "

— "Lady co wieczoru, wychodziła z dworu,
W gęstéj się ukrywszy zasłonie;
I niosła krok skory, gdzie na szczycie góry
Strażnicze ognisko płonie.

"Piérwszego razu, pomny rozkazu,
Udałem się za nią tąż drogą;
Siadła na kamieniu, ale przy płomieniu,
Prócz niéj nie było nikogo.

"Drugiego wieczoru, nim wyszła ze dworu,
Ukryłem się na górze w drzew cieniu.
W tém spojrzę, aż stoi młodzieniec we zbroi,
Sam, przy samotnym płomieniu;—

"Długo, widziałem, trwała z zapałem,
Między nim i Lady rozmowa,
Lecz deszcz rzęsisty i wiatru świsty,
Nie dały mi słyszeć z niéj słowa.

"Nazajutrz xiężyc świécił pogodnie,
I wiatr z gór przestał oddychać;
Z mego ukrycia wszystko dogodnie,
Było i widać i słychać.

"I słyszałem Lady zmowy i układy,
Jak tkliwie mówiła do niego:
"Mój luby, mój drogi! przyjdź do mnie bez trwogi,
Nie lękaj się męża mojego.

"On gdzieś w Ankram-morze walczy, a we dworze,
Oprócz mnie nié ma dziś Pana.
Przyjdź do mnie, ja sama drzwi tobie otworzę;
Przyjdź w wieczór przed świętym dniem Jana.

—"Ja nie mogę przyjść; mnie nie wolno przyjść;
Ja nie śmiem przyjść do ciebie;
—Ja muszę w téj porze, trzymać straż na górze,
Aż świt zabłyśnie na niebie.

"Trwożliwy rycerzu! czyż tegom ja godna?
Toż ma bydź mych uczuć zapłatą?—
Noc będzie pogodna, a miłość swobodna
Stanie nam za wiosnę i lato.

"Ja przekupię straże, psów spuszczać nie każę,
Ja gałęźmi potrząsnę podłogi;
Przez Boga na niebie, zaklinam więc ciebie,
Przyjdź do mnie mój luby, mój drogi!..

—"Choć strażnik zjednany, choć skute brytany,
Choć gałęźmi potrząśniesz podłogę,
Xiądz co śpi przy wchodzie, pozna mię po chodzie;
Nie — ja przyjść do ciebie nie mogę.

—"Xiądz tego wieczoru, poszedł do klasztoru,
Gdzie najmniéj, jak sobie zamierza,
Przez trzy dni zabawi, niż modły odprawi,
Za duszę jakiegoś rycerza." —

„Rycerz zmarszczył czoło, okręcił się w koło,
I zaśmiał się dziko i srogo.
Ha! ha! rzekł, te modły, co xiędza wywiodły,
Ha! ha! i za mnie bydź mogą.

"O północy, jak skoro, duchy mocy nabiorą,
Jak żądałaś będę u ciebie. —"
„To rzekłszy ponuro, znikł w cieniach za górą,
I Lady wróciła do siebie.—"

Barona twarz cała, jak ogniem pałała,
Jak ogniem krew w żyłach mu płynie;
"Mów kto on? kto? — jaki wzrost, broń, twarz i znaki?.
Jak Bog na niebie! on zginie.

—"Wzrost wysoki, twarz śmiała; zbroja złotem jaśniała,
W świetle od ognia odbitém;
Zdźbło cisu zamiast kity, na tarczy chart wyryty,
A kolory szkarłat z błękitem.

"Daremno, daremno, chcesz kłamać przedemną,
Zawołał Baron ze gniewem;
„Ten rycerz w téj dobie, spoczywał już w grobie,
Pod starém Ejldońskiém drzewem.

'Ty kłamiesz Wiljamie!.. — "Przez Boga! nie kłamię,
Widziałem, słyszałem ja sam,
Jak jego ściskała, jak jego nazwała
Ryszardem de Koldingam."

Barona twarz śmiała, jak płótno zbledniała.
Głos i wzrok zdradzały w nim trwogę:
" Grób jego głęboki — skrzepłe były zwłoki, —
Nie, nie mogę wierzyć, nie mogę.

" Gdzie Twidu fale w czystym krysztale,
Malują Melrozu szczyty;
Śród nocy ciemnéj, z ręki tajemnéj,
Koldingam poległ zabity.

" Zalśniło cię ognisko, wiatr ci przyniósł nazwisko,
Gdy wreszcie wierzyć ci muszę;
Bo właśnie w téj porze, w Drajburskim klasztorze,
Modlą się za jego duszę. —"

Rzekł i zgroźném okiem, przyspieszonym krokiem,
Poszedł gdzie sala wspaniała;
Tam w kobiét swych gronie, o dłoń wsparłszy skronie
Samotna Lady siedziała.

Wzrok jéj, to w niebo wzniesion, to czasem
Z falami Twidu popłynie,
Pomiędzy gęstym Mertunu lasem,
Po Tewiotdalu dolinie.

" Witaj mi Lady ! — " Witaj Baronie !
Jakaż wieść, jaka nadzieja ?
Czyje zwycięztwo uwieńcza skronie,
Eiversa czyli Bukleja ?

— " Dobre nowiny, dobra nadzieja,
Pierzchły tłumy najezdnicze;
Twojéj czułości rozkaz Bukleja,
Powierza ognie strażnicze. — "

Twarz się jéj biała, wstydem oblała,
Słowa już nie rzekli oboje;
Lecz przez kręte wschody i wąskie przechody,
W sypialne odeszli pokoje.

Lecz sen był daleki, od obu powieki,
Choć Baron powtarzał sam w sobie :
" To próżna obawa; umarły nie wstawa,
A ja sam widziałem go w grobie. " —

Już w zamku była północ wybiła,
Gdy nagle około poranka,
Sen zdjął Barona, ale strwożona
Zasnąć nie mogła kochanka.

Przy blasku lampy, wzrok niespokojny
Rzuca z pomiędzy firanek;
Przebóg ! przy łożu stał rycerz zbrojny,
Oczekiwany kochanek.

"Uchodź Ryszardzie, uchodź! — w téj dobie
Nie jestem samą, zawoła.
— " O! wiém ja Lady, kto spi przy tobie.
Lecz się on zbudzić nie zdoła.

"Trzeci dzień minął, jakem ja zginął,
Ze zdradnéj ręki Barona.
Na Ejldonu szczycie, w pośród nocy skrycie,
Moja mogiła wzniesiona.

"Modlą się xięża za moję duszę,
Lecz Lady, modlą się daremno.
Ja czas pewny muszę, przeciérpieć katusze,
Aż się Bóg zlituje nademną.

"Gdziem z tobą bawił, muszę co nocy
Błądzić do świtu na niebie;
Lecz bez twych zaklęć nie miałbym mocy
Przyjść, jak przychodzę do ciebie. — "

Nad trwogą przemaga, miłości odwaga:
"Ryszardzie! powiédz mi słowo,
Czyś ty zbawiony, czyś ty zgubiony? —
Widziadło potrząsło głową.

— "Kto przelał krew braci, krwią za krew zapłaci.
Niech o tém wié Baron mściwy;
Że miłość nieprawa, za grzéch się uznawa,
Przyjmij ten dowód straszliwy."—

Wsparł rękę lewą o stoła drzewo,
A prawą dotknął jéj ręki;
Twarz Lady zbladła, na łoże padła,
Bolesne wydając jęki.

Dłoń jego lewa, w powiérzchni drzewa
Jak ogniem została wyrytą;
Dłoń prawą Lady, mówią sąsiady,
Wiecznie nosiła zakrytą.

Jest mnich w Melrozie, w pustelniczéj celi,
Co wieczne chowa milczenie;
Jest mniszka w Drajburgu, co się nie ośmieli
Spójrzeć na słońca promienie.

Ten mnich, co słowa nie mówi nikomu,
Ta mniszka, jak noc posępna,
Ten mnich jest mściwy Baron Smajlomu,
To jego żona występna.

1826 r. *An. Edw. Od.*

NOC MIESIĘCZNA

KRAJOBRAZ.

Noc spokojna, noc cicha; gdzie niegdzie się jeszcze
Słowik tylko odezwie, lub zdrój zaszeleszcze.
Prócz pełgania gwiazd jasnych na niebios lazurze,
Wszelki zda się ruch ustał w uśpionéj naturze.
Uroczystą w powietrzu zatrzymane ciszą,
Z traw i liści przejrzystéj krople rosy wiszą.
Roztoczonego w pełni blady blask xiężyca,
We wszystkich, w każdéj inną barwą się przeświéca;
Łamie się w bystrym zdroju, tak, że patrząc zdala,
Falą płynnego złota każda zda się fala,
I jak blada twarz smutku z posępnym uśmiéchem,
Przez mgłę lekką w jeziorze przegląda się cichém.

Powierzchnie wody gładkie, jak zwierciadeł szyba;
Gdzie niegdzie czasem ze snu obudzona ryba
Pomknie nagle, lecz tylko tak lekko je wzruszy,
Jak piérwsza myśl miłości pokój młodéj duszy.
Lecz jakiż cień olbrzymi, ścieląc się od brzega,
Jak ciężar nie tonący na falach zalega?
Cień to nadbrzeżnéj góry — z dwóch stron mi widoma;
Od jeziora, piaszczysta, przepaścista, stroma;
Snać gdy się pod nią kiedyś bliska woda wkradła,
Podmyta w swych posadach nagle się zapadła.
Dotąd znać ślad którędy spadały z jéj szczytów,
Te bryły na wpół z wody stérczących granitów,
Gdzie pod białe swe skrzydła utuliwszy głowy,
Nieruchome, jak z gipsu, drzémią rybołowy.
Z drugiéj strony, zieloną pokryta darniną,
Powoli się schylając połącza z doliną.
W dolinie, na rzut bystry młodzieńczéj źrenicy,
Zdala jakby na niebie, błyszczy krzyż świątnicy.
Bliżéj nieco, nad zdrojem co dolinę dzieli,
Z pomiędzy drzew zielonych pyszny dwór się bieli,
A odbity jeziora zwierciadły bliskiemi,
Tak w nich lśni nieruchomy, jak nim jest na ziemi.
Daléj — próżno źrenica najbystrzejsza sięga,
Zatrzyma ją las ciemny, w kształcie półkręga.
Lecz cóż to u stóp góry, w brzóz płaczących cieniu,
Lśni się tak między liśćmi w xiężyca promieniu?
Wpatruję się — to pomnik, to mogiła świéża.
Czemuż ni obok innych, ani nad nią krzyża?
Widać tylko zdaleka, jak w miejscu napisu,
Dwie rószczki w krzyż złożone, lauru i cyprysu,

Lutnia zda się u spodu, a gwiazda na górze,
Z metalu wykształcone, błyszczą na marmurze.
Jeleń wbiegł na dolinę, wzniósł promienne czoło,
Nastawił czujne ucho, i patrzy w około.
Wiatr gdzieś listkiem poruszył; zwierz odskoczył, słucha;
Wiatr przewionął, liść usnął, znowu cichość głucha.
Ośmielony postąpił, a pomknąwszy skoro,
Niedaleko od góry przybiegł nad jezioro.
Przybiegł, stanął, wyciągnął i pokręca szyję,
Zgiął ją, i z głośnym szmerem ciche wody pije.
Orzeźwiony, wzniósł czoło i patrzał jak wprzody;
Wtém kropla z ust zwilżonych wplusnęła do wody.
Zadrżał, jak jego obraz, gdy kropla co spadła,
Wstrząsnęła nieco kryształ płynnego źwierciadła.
Lecz wkrótce jakby płonną zawstydzony trwogą,
Parsknął głośno, i w ziemię gniewną tupnął nogą.
Zwrócił się nagle, pomknął, wstrzymał się przez chwilę,
I pasąc się powoli poszedł ku mogile.
Lecz jakaż znów go trwoga wstecz tak rychło niesie?
Jak błysk mignął po polu i znikł w gęstym lesie.
Postać się jakaś w bieli podnosi z mogiły,
Czy duch, którego zwłoki te głazy pokryły?
Nie — to ziemska, to jeszcze śmiertelna dziewica,
We łzach się na jéj licach lśni promień xiężyca,
Choć większa od śmiertelnych piękność ich i bladość.
Jakaż się w niéj maluje i trwoga i radość!
Tak bystro patrzy w koło, tak troskliwie słucha,
Jakby chciała obaczyć, lub dosłyszeć ducha.
Są duchy, lecz śmiertelne nie dójrzy ich oko;
Nie ujrzała dziewica, westchnęła głęboko,

Wzniosła ręce, i łzami nowemi zalana,
Jak wprzód, znów na mogile padła na kolana.

POSŁANIE

DO R..... B.....;

Twa muzyka, twa wola, ten mi rym natchnęła,
Przyjęciem jego dokończ dobroci swéj dzieła.

An. Edw. Odc.

(W RODZAJU POEZII LUDU).

I.

WYJAZD.

"Czemuś pić nie chciał u zdroja,
Czarny mój brytanie?
Czemuś ty szabelko moja
Zabrzękła na ścianie?"

— "Przez okienko wiatr z jeziora
Szabelkę poruszył;
Drobny śnieżek padał wczora,
Zdrój, synu, zapruszył." —

— "Matko! szyba nie dzwoniła,
I woda wesoła;
Tylko pewnie moja miła
U cudzego stoła.

"Pies i szabla moja wiara,
Pojąłem ich mowę;
Puszczaj, nie płacz, matko stara,
Przywiodę synowę."

II.

STRÓŻ GROBU.

"Ptaszku mały, jasnopióry,
Czemuś zawsze przy tym grobie?
Cożeś tak podobał sobie
Na wąskim, chłodnym kamieniu?
Ani na gniazdo gałązki,
Ani tu mchu na jadło,
Ani tu cieniu,
Tylko kamień chłodny, wąski,
Coż tak do serca tu ci przypadło?"

Nic nie mówił, i odleciał;
Nic nie mówił, i przyleciał.
Znow usiadł w milczeniu
Na wąskim, chłodnym kamieniu.

"Stróżu mały, jasnopióry,
Czemuś znów na tym kamieniu?
Ostygło krągłe słońce,
Lasy nie dają cieniu,
Ziemia śniegiem się bieli,
Bracia twoi odlecieli
W cieplejsze świata końce,
Ty choć polecisz do góry,
Znów siadasz na tym grobie.
Powiédz, cożeś tu upodobał sobie?"

Nic nie mówił, i odleciał.
Lecz choć poleciał do góry,
Choć odleciał, znów przyleciał,
Znów usiadł w milczeniu,
Na wąskim, chłodnym kamieniu,
Ptaszek mały, jasnopióry...

III.

SMUTNA RZÉKA.

"Rzéko z cudzoziemców strony,
Czemu nurt twój tak zmącony?
Czy się gdzie zapadły brzegi,
Czy stopniały stare śniegi?"

— "Leżą w górach stare śniegi,
Kwiatem kwitną moje brzegi;
Ale smutna moja woda,
Bo tam płacze matka młoda.
Siedém córek piastowała,
Siedém córek zakopała,
Siedém córek śród ogrodu,
Oczami przeciwko wschodu.
Teraz się z duchami wita,
O wygody dziatki pyta,
I mogiły ich poléwa,
I żałośne pieśni śpiéwa.

IV.

PIOSNKA GAJOWEGO.

Hej, w koło dąbrowy,
A domek w dolinie!
Bodaj żył gajowy
Przy lubéj dziewczynie!

Sobie żyjem, sami.
Puszcza nas osłania.
Nam tu las z wiatrami
Jak państwu się kłania.

W białych pańskich dworach
Muzykantów granie;
Milsze w czarnych borach
Kukułek kukanie.

W białych pańskich dworach
Słudzy z pochodniami;
Nam tu w czarnych borach,
Wszedł miesiąc z gwiazdami.

Miesiączku nie gaśnij!
Rosa połyskuje,
Świécą myśli jaśniéj,
Żywiéj serce czuje.

Idź kto chcesz do dworów,
Dworskim ciesz się stanem;
Ja sobie śród borów
Jestem strzelcem, panem.

Hukam, hukam, śpiéwam,
Ja wolny, gajowy!
Z echem się odzywam,
Na bory, dąbrowy!

S. Witwicki.

WYJĄTEK

Z PISMA O TAŃCACH

PRZEZ

KAZIMIÉRZA BRODZIŃSKIEGO.

Jak taniec polski, *Polonaise*, może się zwać poważnym tańcem rycerskim, tak *menuet* francuzki jest tańcem wykwintnego dworu i wykształconéj społeczności. Nie wyraża on żadnych uczuć; daleka od niego równie szczéra wesołość, jak prosta naiwność. Jest to, można powiedzieć, obraz wyższego tonu paryzkiéj społeczności, pod Ludwikiem XIV. Gracya w tym tańcu jest formalna i umówiona; każdy ruch najściślej wy-

rachowany; wszystko zdradza w nim etykietę, chęć reprezentacyi i wyuczoną powagę. Gdy smak wieku i narodu razem się we wszystkich sztukach objawia, śmiało można ten narodowy taniec Francuzów do ich trajedyi przyrównać. Polonez jest równie jak menuet tańcem osób poważnych; lecz tamten, mając więcéj swobody, mniéj ma teatralności. Godna uwagi, że naród francuzki, w Europie najżywszy i płochym okrzyczany, poddał się równie w poezyi dramatycznéj jak w tańcu wspomnionym, formom najuciążliwszym, i że w obudwu, w miejsce prostéj wspaniałości, przybrał wyuczoną powagę. Dziwniejsza jeszcze, że Francuzki pełne żywego dowcipu i przenikliwego smaku, przybrały w owym wieku ubiór, oznaczający równie dziwaczną powagę jak męzkie peruki, i odpowiedni smakowi powyższemu w poezyi i sztukach. Do tego ubioru stosowny był menuet francuzki, który w dzisiejszéj młodzieży mało zajmuje, a w dzieciach podoba się, nie jako taniec, ale jako przeciwieństwo powagi i dziecinności.

Naród niemiecki, tyle od francuzkiego odmienny, szczególniéj w tańcu swoim narodowym tę różnicę objawia. Jak żywy Francuz poddał się w sztuce ścisłości formy, tak przeciwnie Niemiec z natury powolny, dozwala sobie w tańcu jak i w poezyi więcéj

swobody. Jak Francuzi nazywają taniec *walca* nieprzystojnym, lub wcale nieskromnym; tak Niemcy przyznawać lubią tańcom i poezyi francuzkiéj zimną reprezentacyą. Błogie jest podług mnie panowanie sztuki, przez które naród żywszy przyjmuje w uniesieniu swojém pewne obręby, i wzajem naród poważny, dozwala wolniejszego objawiania się swoim uczuciom.

Według charakteru narodowego Niemców, nie można utrzymywać, aby ich *walec* był tańcem nieskromnym; może on bydź tylko takim dla narodu w obyczajach zepsutego; jest on raczéj, jak sądzę, swobodném poddaniem się uczuciu i imaginacyi, według smaku narodu lubiącego uniesienia metafizyczne. Koło walcujących wyobrażać się zdaje obrot planet podwójny bieg odbywających. Stopy poczynając od koła, wykréślają kwadraty, krzyże, trójkąty. Jest to obraz sfer szybko i zawsze przebiegających. Walec jest raczéj tańcem nadzmysłowego entuzyazmu, który dwie istoty nad ziemskość unosi. Nie dozwala on kibici czarujących przemian, płeć żeńska nie mając w nim pola do zalotności, w wdzięcznem poufaniu się wodzy mężczyzny, ma coś ujmującego, co jej charakterowi narodowemu jest właściwe. Szybko zwracane twarze, żywo przesuwające się pary, które jak zjawiska mi-

kną i powracają, wszystko to ma coś mistycznego i powabnego dla młodzieży.

Polski taniec, jest jeden ze wszystkich, który męzkiemu wiekowi przystoi, który powadze żadnego stanu nie ubliży; dla tego jest on tańcem Monarchów, Bohatérów, a nawet starców; tańcem jedynym, który ubiorowi rycerskiemu przystoi. Nie wyraża żadnego uczucia namiętności, ale zdaje się bydź tryumfalnym pochodem, i wyrazem ułagodzonych rycerskich uczuć. Przeto znamionuje go zawsze uroczysta powaga. Jest to może jedyny taniec, który nie przypomina jak inne, ani uniesień ludu jeszcze surowego, ani zalotności ludu przez cywilizacyą zniewieściałego. Prócz tego ogólnego charakteru, ma razem właściwą cechę zwyczajów i obyczajów narodowych. I tak: układ jego przypomina arystokratyczną Rzeczpospolitą, mającą zaród anarchii, która wypływa raczéj z formy rządu, aniżeli z charakteru narodowego.

Za starodawnych czasów był polonez tańcem zupełnie obrzędowym. Król, z najznamienitszą osobą płci męzkiéj, wiedli za sobą szereg pár z samych mężczyzn złożonych, i wtenczas taniec przy ubiorach rycerskich był tylko tryumfalnym pochodem. Gdy osoba płci żeńskiéj była szczególnym celem uroczystości, zaczynała taniec w piérwszéj parze z drugą kobiétą, za tą zaś

parą same postępowały damy, dopóki przodkująca nie podała ręki jednemu z mężczyzn w około stojących, którą wszystkie inne naśladowały.

Zwyczajny polonez rozpoczyna żwykle najpoważniejsza w towarzystwie osoba, która według upodobania może za sobą cały szereg prowadzić, lub go rozpuścić. I to się zowie *rej wodzić*; który to wyraz jest synonimą dowódcy, władcy, i spokrewniony z wyrazem *rex*. Tańczyć na czele, zwało się także marszałkować, stosownie do przywilejów marszałków, jakie im na sejmach służyły. W téj formie przypomina ten taniec *pospolite ruszenie*, a bardziéj jeszcze *sejm* narodowy. Mimo uległości przodkującym, którzy według woli, w tę lub ową stronę, z sali do sal, szereg za sobą prowadzić mogą, ma ten taniec dziwaczne przywileje, dla każdego w święte zamienione prawo. Każdy śmielszy z towarzystwa według kaprysu, dumy albo zazdrości, może zawołać *odbijanego*, któremu to głosowi i dowódca i wszyscy posłuszni bydź muszą. Przywiléj ten jest z czasów poźniejszych, i odpowiada nieszczęsnemu *nie pozwalam*. W tém zdarzeniu, albo nowy dowódca prowadził za sobą nowe stronnictwo, albo téż tylko dawny ustępuje w miejsce drugiego, drugi w trzeciego i tak daléj; tak, że na téj zamianie tylko ostatni ciérpi, jeżeli nie ma śmiałości

użyć przywileju aby się znowu na czele postawił. Gdy podobny przywiléj może tańcujących doprowadzić do zupełnéj anarchii, przeto albo przodkujący używa prawa solwowania tańca, jak król lub marszałek sessyi sejmowéj; albo za objawioném życzeniem ustępują wszyscy, damy jedynie w kole zostawując. Te, same daléj taniec prowadząc, czynią inny wybór między mężczyznami, zostawując malkontentów albo burzycielów na stronie, i wtenczas taniec, odpowiada niejako sejmowi konfederacyjnemu.

Niemniéj polonez maluje charakter narodowy.—Muzyka jego, która więcéj niż inne tańce sztuki dopuszcza, obok rytmu marcyalnegó, ma w sobie słodycz przypominającą wiejskość i prostotę. Cudzoziemcy, mianowicie Włochy i Niemcy, zmienili jego charakter zupełnie, a bardziéj jeszcze sami Polacy, gdy z tematów oper cudzoziemskich, polonezy wyrabiać zaczęli.

Dzisiejszy taniec polski jest tylko przechadzką i spoczynkiem, który dla młodzieży nie ma żadnego powabu, dla starszych zaś jest tylko obowiązkiem etykiety.

Dawni Polacy tańcowali go z dziwną zręcznością obok szlachetnéj powagi. Przy krokach posuwistych bez skoków, urozmaicał tańcujący swą postać poruszeniami szabli, czapki i rękawów, pokręcaniem wą-

sa, owemi oznakami rycerza, obywatela i męża. * Kto widzi Polaka w polskim stroju tańcującego, przyzna, iż ten taniec jest tryumfem osób dobrze zbudowanych, umiejących swój chód powagą i szlachetnością, a rysy twarzy męzką wesołością ożywić. Przy zaczęciu tańca, Polak kładąc czapkę pod pachę, przy ukłonie przed damą, pokręcając wąsa jedną ręką, drugą na szabli opiérając, okazuje męzką zalotność i dumną niejako wystawność. Prowadząc damę z uszanowaniem ręką nieco tylko w łokciu zagiętą w przyzwoitém oddaleniu, zdaje się z uszanowaniem ku niéj i dumą wewnętrzną, przedstawiać ją zgromadzeniu; kierując nią, nie według stałych przepisów w innych tańcach, lecz według własnéj woli łagodzonéj powagą i uprzejmością, tak jak mąż w ciągu domowego pożycia. Dama nie ma tu miejsca do wystawnej zalotności, zachwycających przemian kibici, wyraża tylko skromną powagę, a przy wspaniałym ubiorze dla tego tańca przyzwoitym, przy wzroście i pięknéj kibici, przy posuwistym pochodzie na czele milczącego

* U dawnych Polaków, nietylko szabla była wyłączną oznaką szlachcica, lecz nawet ludzie którzy lat pewnych nie doszli, tudzież ludzie niektórych stanów, nie mogli nigdy nosić zarzuconych na ramię rękawów. (*Przypis autora*).

grona które za sobą prowadzi, wyobraża ideał jakowejś wyższéj istoty.

Jak polski lud jedynie zachował jeszcze śpiéwy przy tańcu, które mu tyle wesołości dodają; tak stan rycerski w Połszcze, ma jedyny w Europie taniec, do którego zachęty i okrasy służy wymowa. I tu jeszcze odznaczają się Polacy, którzy jako naród sejmujący, uważali wymowę za towarzyszkę wszelkich czynności. Polonez był i jest polem do rozwinięcia wymowy, jaką uczucie, lub sama uprzejmość jednéj płci ku drugiéj, natchnąć jest w stanie, a która nie słabą jest sceną, obok muzyki, uroczystości, i usunięcia się od świadków. Pierwsza tylko para będąc wodzem i reprezentantem całego grona tańczących, zwracając wszystkich oczy na siebie, zachowywać musi wszelkie formalności do tańca i do jéj stanowiska przywiązane; reszta, jak swobodni i posłuszni pod dobrym rządem poddani, jakby wczasu używając, ciągną spokojnie za poprzednikami.

Ważnémby było dla historyi sztuki, a może i dla smaku i obyczajów narodu, chronologiczne zebranie muzyki najużywańszych polonezów od najdawniejszych do ostatnich czasów. Najdawniejsze okazują najwięcéj prostoty i ducha marcyalnego; z końca wieku XVII i piérwszéj połowy XVIII mają wiele okazałości, a wszystkie są hu-

czne; z czasów zaś poźniejszych, oryginalne polonezy znamionują się smutkiem do serca mówiącym. *

Krakowiak, oznacza lud jeszcze bliski natury i najżywszą wesołość; używany jest u ludu. Daleki od sztuki i zalotności hiszpańskiego tańca Bollero, to ma z nim spólne, że ze śpiéwem jest połączony, i że w obudwu, tańczący wybijają takty, w tamtym rzegotkami, u tych mosiężnemi kółkami lub podkówkami. Z resztą Krakowiak bynajmniéj nie jest zdolny do tego upięknienia przez sztukę co Bollero. Więcéj on okazuje entuzyazmu i siły, niżeli zręczności. Brzęczenie kółkami, których wiejscy junacy w

* W młodości mojéj byłem w domu jednego obywatela w Galicyi, w czasie zabawy wieczornéj, gdzie młodzież, już w połowie z Niemców złożona, tańczyła walce, i gdzie czasem odzywały się modne cudzoziemców polonezy. Kilku sędziwych obywateli w kontuszach, w czasie téj smutnéj dla nich zabawy, wyniosło się za jednym, który wziąwszy skrzypce do ręku, chciał na ustroniu przypomnieć im polonezy dawne; przyjęli mię do tego grona i udali się aż do — piwnicy. Po staropolsku obchodziła w koléj *lampka* wina, prosto z beczki wyciągniętego, gdy wszyscy z rozrzewnieniem słuchali, grającego dawne polonezy Ogińskiego, tchnące narodowością i rzewnym smutkiem Widok tych starców, bicie nogą do taktu, w entuzyazmie zamaszyste rąk poruszenia, gdy im po czerstwych jagodach rzewne łzy spływały, w miejscu słabo przez kaganek oświeconém, był sceną prawdziwie malarską, któréj rzewności dodawało wino, jedyna starców pociecha, w śród wspomnień dawnych obyczajów i straconéj młodości. (*Przypis autora*).

Krakowskiém po kilkadziesiąt u pasa zawieszają, zawieszenie u tegoż pasa narzędzi potrzebniejszych, krzesanie ognia podkówkami, przypominają lud wojenny. i bliski jeszcze piérwotnego stanu społeczności. Poruszenia, ruch, ubiór i muzyka tego ludu tak są oryginalne, że pewno żadna sztuka tych wesołych tanecznikow naśladować nie zdoła. Piękny chociaż pstry ubiór Krakowiaków i Krakowianek, szczególniéj im do tego tańca przystoi. * Długie Krako-

* Następujące wrotki z pieśni gminnéj krakowskiéj, dają niejakie wyobrażenie o stroju tego ludu.

Alboż my to jacy tacy,
Chłopcy Krakowiacy!
Czerwona czapeczka,
Na cal podkóweczka,
Niebieska sukmana,
Dana moja, dana.

* * *

Karazya wyszywana,
Cecioć jakoś haftowana
Pętliczkami, sznureczkami,
Kółeczkami, hafteczkami,
Złocistemi klapeczkami,
Do kolusieneczka, moja kochaneczka.

* * *

wianek warkocze po dwa splatane, unoszą się w powietrzu za tanecznicą, między kilkadziesiąt wstęgami różnego koloru. Wstęgi takowe oznaczają całą historyą życia tancerki, gdyż zwykle są podarunka-

---

Mam i pasik z białéj skóry,
Tak i onak wyszywany,
Przeplatany rzemyczkami,
Wybijany gwoździczkami,
Z złocistemi sprzążeczkami,
Do kolusieneczka, etc.

* * *

I koziczek wyostrzony,
W cudną kaletę włożony,
Przy nim fajka i krzesiwko,
Na to cudne przyodziéwko,
Kochajże mię moja dziewko,
Do kolusieneczka, etc.

* * *

I koszula z kołnierzykiem,
Z faworkami, z fałdeczkami,
Z obszewkami, z przyramkami.
I buciki wywracane,
Podkoweczki nitowane,
I przy skroju przyszywane,
Z uszeczkami, z przywiązkami,
Do kolusieneczka, etc.

* * *

mi zalotników, matek i chrzestnych i są nagrodami za żniwa pilnie odbyte, pamiątką odpustu z Częstochowy, i t. p.

Krakowiak w formie swojéj jest usymplifikowany polonez, i w porównaniu z tymże, jest obrazem piérwotnego stanu towarzystwa. Jeden najśmielszy i najsilniejszy rej wodzi między wszystkiémi, jemu wtórują inni, tak jak on śpiéwa, — i tańczą tak, jak on prowadzi. Zresztą, taniec ten uważany bydź powinien, jako mały balet, wystawujący zwykłą historyą romansu. Para młodzieży występuje na scenę stając przed muzyką; młodzian okazuje się w postawie junackiéj, nieukrócony jeszcze w młodzieńczéj dzikości, napuszony swoją postacią i strojem; wnet, staje zadumany ze spuszczonemi oczyma, szuka natchnienia do śpiéwu, do którego zachęca go okrzyk młodzieży za nim stojącéj, i takt stalą wybijany, na-

---

I pieniądze za obsiewki,
Kochajcież mię moje dziewki.
A która mię będzie chciała,
Ta to wszystko będzie miała:
Rańtuch biały, okolisty,
Gorset złocisty i czysty,
Sznurek koralow złocisty,
Do kolusieneczka, moja kochaneczka.

Przyp. Aut.

koniec dziewica ośmielająca go pląsami d. śpiewu i tańca. Tanecznik jednę koléj odbywszy, staje przed muzyką, dozwala sobie zwykle pieśni mogącéj taneczniey dać powód do zawstydzenia, która przeto w pląsach przed nim ucieka; młodzieniec ją ściga dając dowód zręczności w skokach rozmaitych i szybkości. Za trzecią koleją, gdy z dognaną dziewicą do śpiewu staje, on sam przed nią się usuwa, a za nim dziewica dąży, dopóki się iego ramienia nie chwyci: tak połączeni tańczą razem w objęciu, dopóki zakończona muzyka, pasma ich uciechy nie przetnie.

Mazur w piérwotnym składzie swoim, jak go lud prosty dotąd tańcuje, podobny jest do krakowiaków, lecz jako tańcowany przez lud w równinach żyjący, nié ma tych skoków i żywości, które tańce mieszkańców gór cechują. Szybcy Krakowiacy i Górale, tém tylko od Krakowiaka go różnią, iż go *dnobnym* nazywają. Przez sąsiedztwo z Niemcami, a raczéj przez wojska niemieckie, taniec ten pomiędzy ludem stracił swój charakter, i zmienił się w rodzaj niezgrabnego walca. Szczególniéj u ludu w stolicy, tańce narodowe zupełnie cechę swoję straciły, do czego przyłożyła się nietylko znaczna ilość ludu cudzoziemskiego, ale i nieszczęśliwie upowszechnione narzędzie zwane *katarynką*. Grecy troskliwi o sztuki piękne,

zapewne nietylkoby tego narzędzia zakazali, aleby nawet wynalazcę onego wygnaniem zapłacili. One tłumi pomiędzy ludem zamiłowanie w muzyce i odbiéra zarobek wieśniakom, mogącym się z natury na muzyków w swoim zawodzie sposobić. Rzadko już słychać pomiędzy pasterzami rzempolących skrzypków, gdy żydek do karczmy *katarynkę* zakupiwszy nawet przemysł muzyki wieśniakom odbiéra. Znikła przeto swoboda wiejskich taneczników, coraz nowe z natchnienia pieśni wyśpiewujących, które skrzypek odgrywać musiał; coraz więcéj zatracają się tańce prawdziwie narodowe, gdy te machiny wygrywają tylko pieśni z oper i kompozytorów stolicy.

Taniec mazurek między ludem upadły, przyswoiła sobie klassa wyższa, i przy zachowaniu narodowości tyle dodała mu sztuki, że śmiało do najprzyjemniejszych tańców europejskich liczyć się może. Ma on wiele podobieństwa z kadrylem francuzkim, według tego, o ile polski naród z francuzkim, w charakterze i smaku, do siebie zbliżać się zdają. Patrząc na obadwa te tańce, powiedziećby można: że Francuzka tańczy aby się podobać, Polka zaś podoba się oddając się w tym tańcu uczuciom dziewiczéj wesołości. Jéj gracya bliżéj się zdaje graniczyć z naturą, niżeli ze sztuką. Kibić tancerki francuzkiéj, przypomina

greckie idealne utwory rzeźby; Polka, (przynajmniéj dla Polaka) zdaje się przypominać pasterkę według wyobraźni Poetów; i o ile się tamta podoba, o tyle druga zajmuje. Jeżeli tańce dzisiejsze są pospolicie tryumfem kobiét, przeto szczególniéj, że u biór mężczyzn wcale tańcowi nie sprzyja; mazurek zdaje się bydź iedynym tańcem, w którym młodzieniec najpowabniéj okazać się może, osobliwie zaś młodzieniec Polski, którego pewne przyjemne junactwo, jest duszą i ozdobą w tym tańcu.

Lekki, do pastérskiego zbliżony ubiór kobiét, i narodowy ubiór wojskowy dla mężczyzn, jako pięknéj budowie ciała najbardziéj sprzyjający, dodaje temu tańcowi uroku w oczach malarzy. W nim ciało odmienia szybko rozmaite postaci, on dozwala ramionom ruchów niewymuszonych i niejakiego zaniedbania się w postawie, które przy wesołości, i tupaniu o ziemię, jest samą gracyą. Entuzyazm i życie ożywione dodaje coś urocznego skinieniom głowy, która wnet do góry wzniesiona, wnet ku piersiom opadając, lub się łagodnie ku ramieniu skłaniając, maluje aż do zazdrości pełność życia i uciechy, cieniowaną przez prostotę, lekkość i delikatność. Patrząc na parę, w któréj tanecznica unoszona prawie ręką mężczyzny, na jego wsparta ramieniu, jego się wodzy

oddaje; zdaje się, że widzimy dwoje szczęśliwych istot, ulatujących ku szczęścia krainom. Tanecznica lekko ubrana, drobną i okrągłą nóżką oczy mamiąca, która w powietrzu się unosząc, ziemię tylko dotknięciem drażnić się zdaje, wnet się z rąk swojego tanecznika wyrywa, do innych odlatuje, okiem niedosięgniona, kolejno przez tych i owych unoszona w powietrzu, z szybkością błyskawicy na ramię swojego tanecznika się rzuca; jest w oczach widza istotą zajmującą, równie swojém uszczęśliwieniem jak wdziękami i zręcznością.

Muzyka tego tańca jest równie narodową i oryginalną. Zwykłe w nim połączenie melancholii z wesołością, zdaje się miéć za zasadę równie rzewną tęskność jak rezygnacyą. Jest to właściwy taniec kochanków, których i smutek jest zajmujący i godny zazdrości. Są w Polszcze mazurki, tak jak polonezy zupełnie historyczne, do których przywiązaną jest pamięć i uczucia natchnione przez różne wypadki narodu.

Taniec *kozak*, wyobraża lud wojenny, jeszcze surowy. Lud ten mało używając spokojnego szczęścia w rodzinném pożyciu; w obozach albo wycieczkach swoich ku granicom Tureckim, w rzewnych tylko dumach przechowujący swe dzieje i tłómaczący uczu-

cia, miał taniec, którym dawniéj sami mężczyzni w nudnych leżach i obozach pośród step dzikich, lubili się zabawiać, i przez który ćwiczyli się w sile i zręczności. Nie ma on żadnego poetycznego układu, i prawie żadnego charakteru; jest to tylko popis zręczności i siły, i należy zupełnie do znanych grotesków. Muzyka jego smętna, obok nieulagodzonéj wesołości, znamionuje lud szukający w téj zabawie, raczéj chwilowéj pociechy, aniżeli objawienia wesołych uczuć.

W końcu zeszłego wieku, taniec ten przez stan wyższy udoskonalony, służył do okazania gracyi płci jednéj, a zręczności płci drugiéj; teraz zaś jest tańcem, w którym dzieci przyjemnie się wydają. Śmiałość i pewność chłopca i niepokryta pretensya, dziewczyny, nadają dzieciom szczególny powab w tym tańcu.

PIEŚNI

Nowo-greckie

PRZEKŁAD

ALEXANDRA CHODŹKI.

I.

LIJAKO.

Wojak tu opiewany, był naczelnikiem jednéj z band Kleftów gór Agraffa. Akcya piosenki zaczyna się ze środka. Lijako czyta list od Ali Paszy.

" Uznaj Lijako Paszę za pana,
I Wezyrowi oddaj broń nagą;
Klnę ię na święte imie Sułtana,
Téj chwili będziesz mym derwenagą." —
Ze wzgardą kartę rozdarł Lijako,
Na świstku piszé odpowiedź taką:

" Szlij takim jak ty, swe dary diable!
Lijako o nic u was nie prosi;
Lijako nosi dla Paszy szablę,
A dla Wezyra karabin nosi."
Skończył — z szałasza jak piorun wyskoczy,
Posłańcom paszy rzuca świstkiem w oczy.

Przeczytał Ali, z gniewu się wścieka,
I w chwili firman każe gotować:
" *Wśmie Allaha! spiesz Weligeka!*
Spiesz w knieje Kleftów, te psy polować;
Pamiętaj bydź mi nie lada myśliwcem!
Chcę psa-Lijaka lub trupem, lub żywcem."

I Weligeka, nim słońce zgasło,
Wyszedł polować — i śród niziny
Napadł na Kleftow w szałaszach — "hasło!
Hasło? — "bój wczął się, grzmią karabiny;
Zgiełk, huk, kurzawa, szczęk, rżenie, wrzaski,
I głos dowódców, i wystrzałów blaski.

"Baczność! porządek! w prawo przed szałasz!
"Męstwo Kleftowie!" rzekł Kautojkupi;
Bieży Lijako, w zębach ma pałasz,
W ręku karabin, rozpiérzchłych kupi,
I sam naczelny w najgorętszym boju,
Czarny od dymu, od pyłu, od znoju.

Bieży, a za nim tłumem się garną.
Trwał bój trzy noce, trwał bój trzy ranki;
Zalane łzami, odziane czarno,
Próżno go kleły blade Albanki.
Padł Weligeka w krew z siebie wylaną;
Mustafa ranny w rękę i kolano. —

Lecz cóż się stanie z ową greczynką?
Wróg ją otoczył na wierzchu wzgórka;
"Niechceszli dziewczę zostać Turczynką?
Niechceszli dziewczę za mąż za Turka?"
" — W przódy ten piasek krew moja ubroczy,
Niżli mi Turek ucałuje oczy." —

Konno Lijako walczył na błoniu,
Walcząc, przypadkiem spójrzał w tę stronę;
Postrzegł i zadrżał — "Powiédz mój koniu,
Powiédz czy mógłbyś zbawić mą żonę?
Ja ich rozgromię, lecz w chwili pogromu,
Czy mógłbyś panią twą uwieść do domu?

— " O panie! koń twój rączość podwoi,
Koń twój przegoni wiatry w ucieczce;
Pani mię za to z rączek napoi,
Owsa na białéj poda chusteczce. " —
Rzekł, raz i drugi mignął po rozłogu,
I już greczynka u pańskiego progu.

II.

POCAŁUNEK.

Piosnka ta jest z liczby używanych przy obrzędach ślubnych, ojczyzną jéj Tessalia.

Wszystkie blondynki, wszystkie brunetki,
Całowały mię po razu;
I cóż mi z tego? kiedy Elżbietki
Serce ze stali, czy z głazu.

Smutno mi, smutno, lecz wiém co zrobię,
Dali mi wzgórek rodzice;
Pójdę, mój wzgórek kwieciem ozdobię,
Założę sad i winnicę. —

Zrobię płot z chróstu, wrota otworzę,
I sam zaczaję się w chróstach;
Do wrót otwartych, przybiegą hoże,
Z pocałunkami na ustach.

I ty przybieżysz mój migdaliku,
Nie znając zdrady oszusta;
" Gdzie jest ogrodnik ? hej ogrodniku !
Daj jagód, całuj nas w usta. — "

A tuś mi moja sarneczko zgrabna !
Wejdźcie goście pożądani,
Zrzućcie obuwie, trawka jedwabna
Śnieżnych wam nóżek nie zrani.

Proszę do środka, z bogactw jesieni
Wybiérz co ci się podoba;
Tu morel, co się jak ty czerwieni,
Brzoskwinia sadu ozdoba;

Jabłoń oliwna, granat, derenie,
Których mi sąsiad zazdrości;
Gęsta altanka, darń, chłodne cienie,
Wszystko dla słodkiéj miłości.

III.

ACH TO ON!

Dyalekt wyspy Krety panujący w téj pieśni, każe się domyślać, że tamże wzięła swój początek.

Wieczór, noc płynie w ciszy głębokiéj;
Stuk, stuk — "otwórzcie, otwórzcie mi się
Drzwi złotowłosój, drzwi czarnookiéj!" —
"Kto tam?" — "swój" — "ho, ho! chcesz nas zwieść lisie.
Jakże się zowiész?" — "Ach ja to, ja to,
Com dla cię nosił, com dla cię chował,
Najsłodsze jabłka, trześnie, a za to
Najsłodsze usta twoje całował." —

— "Nie, nie, filucie! kiedyś ten sam y,
Opisz dziedziniec mój." — "Od ulicy
Zaraz masz bramę, jabłoń u bramy,
Przy niéj winnica, a z téj winnicy
Takie urocze, tak słodkie wino,
Że gdy go usta dotkną się czyje,
Pije i kocha, kocha i pije;
Ach! jam z twéj dłoni pił je dziewczyno." —

— "Ty mię oszukać chcesz synu lisi!
Mogli ci mówić sąsiedzi moi.
Opisz mój pokój." — "Do twych pokoi,
Z sieni na prawo; w jednym z nich wisi
Lampka ze złota; ta lampka świéci,
Gdy się rozbiérasz, gdy włos jak wstęga
Złota, rozlany po twéj kibici,
Széroko płynąc, aż do stóp sięga!" —

—" I to nie dowód; mógł kto z mych braci,
Kto ze znajomych popleść przed tobą;
Lecz gdy jak mówisz, znamy się z sobą,
Daj mi rys jaki mojéj postaci." —
— " Znamy się, znamy, lecz bądźmy szczersi;
Na twarzy czarną, małą masz plamkę,
Plamkę na szyi, ach! a też piersi...." —
— " Dość dość pochlebco! — puściłam klamkę."

IV.

ŚLUB NIESPODZIANY.

Piosnka ta znaną jest na wielu wyspach Archipelagu, na jednéj z nich zatém, musiał żyć jéj autor lub autorka.

Siedzę ja sobie pewnego ranka,
Wiążę dla Jasia różowy sznurek,
Dla mego Jasia, mego kochanka;
Patrzę ja sobie na bliski wzgórek,
Aż leci ptaszek, wleciał i śpiéwa,
Siadłszy na moim grzebieniu z drzewa.

" Ty sznurek wiążesz, a Jaś się żeni,
Jaś zaręczony innéj dziewicy;
Jeszcze dwie chwile, a już złączeni,
Już uwieńczeni wrócą z kaplicy." —
Biegnę do okna, rzucam mój sznurek,
Patrzę, Jaś do nas jedzie przez wzgórek.

Jaś-że mię rzuca, czy kocha wiernie?
Jak Jasia nazwać? niewiém ze strachu;
Różą nie można, róża ma ciernie,
Laurem nie można, laur bez zapachu;
Choć Jaś mój świéży jak róża młoda,
Choć jak laur Jasia mego uroda.

Trzeba właściwsze dać mu imiona,
Witaj gałązko kwietna jaźminu!
Witaj topoli rószczko zielona!
Witaj szczęśliwych rodziców synu!
Przynieś nam szczęście w chatkę spokojną!
Gdzież to tak spieszno? gdzież to tak strojno?

— "Żenię się, serce! znalazłem drugą;
Gdy chcesz, przybiegaj wnet do kaplicy,
Długo ja, długo, byłem twym sługą,
Dziś ty bądź drużką mojéj dziewicy." —
Rzekł, i pojechał; — a ona blada,
Bez tchu do izby sąsiadki wpada.

"Co ci? ty cierpisz, ty nie przy sobie;
Oczy tak straszne, usta tak sine!"
— "Jak tu nie cierpiéć, jak być przy sobie;
Jaś dzisiaj bierze inną dziewczynę,
Jeszcze szyderca, jeszcze bez serca,
Chce mnie mieć drużką swego kobierca!"

— "Otrzyj łzy próżne, rzuć trwogi marne;
Uczyń twarz słońcem, piersi xiężycem,
Piórami kruka uczyń brwi czarne;
Z czołem pogodném, z wesołém licem,
Spiesz do kaplicy, spiesz moja miła!"—
Jak ta mówiła, tak ta zrobiła.

Wchodzi — od tyla blasku i wdzięku,
Xiądz się pomylił, dyakon zdumiał,
Śpiéwakom nóty wypadły z ręku,
Sam Jan zaledwie przemówić umiał:
"Cóż tak nie śmiało? czemu tak skromnie?
Bliżéj tu piękna! bliżéj tu do mnie!

"Ty dyakonie czytaj jak wprzody,
I wam śpiéwacy dość się dziwować;
A ty kapłanie! jeśliś był młody,
Gdy umiész wierną miłość szanować;
Kiedyś ochrzczony, gdyś poświęcony,
Na czoło drużki włóż wieniec żony."

V.

ŚWIADKI MIŁOŚCI.

Pomnisztę wschodnią gwiazdkę? gwiazdkę, co tak czysto
Co tak pięknie jaśniała na nocy błękicie,
Gdyśmy nawzajem miłość przysiągłszy wieczystą,
Klęli zbyt rychłe ranku i światła przybycie?

Pomnisz to sine morze? w któreśmy tak radzi,
Patrzali jak wiatr postać xiężyca rozwiéwał;
Pomnisz tę złotą chwile? — Któżby się spodziéwał,
Że nas tu niemy świadek podsłucha i zdradzi?

A przecież tak się stało — Gwiazdka tegoż ranka
Oskarżyła nas morzu; morze wiosłu; wiosło
Majtkowi; majtek kochał, i wnet z ust kochanka,
Echo po całym świecie tę piosnkę rozniosło.
Bo nazajutrz ją w mowę związawszy miarową,
Wprzód nim się słońce skryło w zachodu firanki,
Majtek przyszedł z gitarą, i piosenkę nową
Na dobranoc zaśpiéwał pod oknem kochanki.

VI.

ŚWIĘTY BAZYLI.

W wieczór, po długiéj przez wieś alei,
Święty Bazyli szedł z Cezarei.
Płaszcz miał z żelaza, z miedzi trzewiki;
Biegną dziewczynki, biegną chłopczyki,
Śród go alei w krąg obstąpili:
"Skąd to i dokąd święty Bazyli?"
— "Wracam ze szkoły, droga daleka,
Muszę pośpieszać; matka mię czeka."
— "Gdyś ze szkół, powiedz nam twe A B C! —
Chcąc im powiedzieć swoje A B C,
Święty się oparł na swój pastorał,
Wzniósł w niebo czoło, które trud zorał,
W tém z pastorału gałąź wykwita,
Srébrna, złotemi liśćmi okryta.

BAJKI

DYMNIK

RODZINNA STRZECHA.

Gospodarzowi na szczupłéj zagrodzie,
W domku przy małym dębie,
Kuny wyjadły gołębie.
Chcąc zabieżéć takiéj szkodzie,
(Szkoda to bowiem nie lada)
Idzie do chłopa sąsiada,
Kupuje gołębie młode,
Niesie do siebie, daje im wygodę,
Każdego ziarka po trochu,
Gryki, pszenicy i grochu,

Wsadza w gołębnik wśród miłego gaju,
Słowem, ptaszęta jak w raju.
Lecz każdy powab przybylcom nie miły,
Zawsze gruchały, tęskniły,
Stokroć je wsadzał, i stokroć odeszły.
"Cóż się wam dzieje? pyta pan zagrody,
Nie macież dosyć i ziarna i wody?
Nie lepszyż wasz byt dzisiejszy, jak przeszły?
Czyliż nie lepiéj siedzieć w gołębniku,
Niźli w dymniku?" —
— "Ach nie chciéj panie uważać w tém winy,
Odpowiedzą mu ptaszyny,
"Dymnik to wprawdzie, ale dymnik miły,
Bośmy się w nim urodziły." —

Julian Ursyn Niemcewicz.

ROK

STARY I NOWY.

Rok gdy na skrzydłach Czasu ulatywał,
Smutny że złożył rząd świata,
Spotkał młodego brata,
Który ochoczo przybywał.

„Zaczekaj, starszy mu powié,
Niech cię zalecę ludowi,
Gdy po mnie idziesz koleją.“ —
Młody nie słucha i leci,
„Mam, rzecze, kto mię zaleci,
Przychodzę razem z nadzieją. —“

Józef Lipiński.

GWOŹDŹ I SZRUBA.

Niezmiernie się gwoździ zamroczył,
Gdy raz w desce szrubę zoczył.
„Jak to bydź może, rzecze, moja luba,
Ja tak cienki, ty tak gruba,
Przecież wbrew twojéj naturze,
Więcéj zdziałałaś odemnie,
Właśnie tam siedzisz w téj dziurze,
Gdziem ja się tłoczył daremnie?“—
A ta mu na to: „Tak to zręczność działa,
Ty prostą szedłeś drogą, jam się wszrubowała.

F. M.

FRANUŚ I ECHO.

Swawolny Franuś znudziwszy się w szkole,
Piérwszy raz w życiu wymknął się na pole,
I mile z swego korzystając czasu,
Chodził i śpiéwał po nad brzegiem lasu.
Kiedy w tém nagle stanął zadumany;
Pojąć nie może co mu się to zdarza,
Słyszy wyraźnie jakiś głos mu znany,
Co słowa jego powtarza.
"Cóż to jest?" woła, — *cóż to*? głos odpowie.
"Czy tu kto skryty? — *skryty* się odzywa.
Rośnie więc walka i głośna i żywa,
Kłócą się słowo po słowie,
Co tylko Franuś zagada,
Jużci echo odpowiada.
Im Franuś krzyknie donośniéj,
Tém i echo głośniéj.
Tak przez godzinę śmieszny spór prowadzi,
Dąsa się, rzuca, a nie wié z kim wadzi.
Wiecież co zyskał, że się z głupim kłócił? —
I echa nie przegadał, i z chrypką powrócił.

F. M.

NENJE. *

JÓZEFA DYONIZEGO MINASOWICZA.

GRÓB TROJGA NIEMOWLĄT I CÓRKI DOROSŁEJ.

(Stosownie do rzeźby Malińskiego).

Skrzydłem niebian do niebian uleciało troje,
Ich siostra szlakiem wiary poszła w grody swoje.
Ziemio! jakież gościńce dał goście tobie? —
Z sobą, łzę powitania, łzę żalu — po sobie.

MAK CZERWONY NA GROBIE.

Krasny kwiecie makowy, coś żniwiarkę zdobił,
Któż to ciebie na godło jéj skonu przerobił?..
Prawda! słodko odurzasz, snem głębokim morzysz,
A żarem twojéj główki zorze życia wróżysz.

* Wiérsze żałobne.

MOGIŁKA ZOSI.

Cieszcie się ze mną, druchy! żyje Zosia mała;
Patrzcie! na jéj mogiłce różyczka zatlała!

PAJĄK NA NAGROBKU.

Prządź pajączku! jak przędziesz; zarabiaj to imie!
Chcesz widzę, bym nie poznał, kto w tym grobie drzymie.
O! jest w sercu — a rychło nie zawrze się rana,
Są kwiaty łez mych syte;... mogiła zbyt znaną!

MEMU JÓZIOWI.

Nie pojmie, kto nie tracił, co w drobnéj dziécinie
Szczęścia nierozkwitłego dla rodziców ginie!...
Powiém stratę do ziarnka, gdy mi zbiór zniszczeje;
Nie powiém, jeśli burza siejbę mi rozwieje.

BIBTKI

DO ŁZY

PRZEZ F.... M....

O TY! z anielskiéj ulana czystości,
Łzo, kroplo boska, wyciśniona z duszy!
Słodki ulewie wezbranéj rzewności,
Kogóż twój widok nie wzruszy?

Niebo nas twoim pocieszając tworem,
W głębi serc tajne wskazało ci źródło,
I z tamtąd skrytym prowadząc cię torem,
Drogą spojrzenia wywiodło.

Jakże się czystą, jakże piękną rodzisz,
Wdzięcznem kochanki rozjaśniona okiem!
Ach! ty sam uśmiech dobroci przechodzisz,
Piękności twojéj urokiem.

W tobie to każde uczucie przemawia,
Miłość cię, litość, żal i radość leje,
W tobie to prawda serca się wyjawia,
I promień cnoty jaśnieje.

Jak na uwitym z młodych róży wieńcu,
Drży wonna rosa porankiem błyszcząca,
Tak ty na wstydu płonącym rumieńcu,
Lśnisz się i cicha, i drżąca.

Tyś jest ostatnią niewinności bronią,
Ty skrapiasz wszystkie i wieki i stany,
Ciebie nędzarze, ciebie króle ronią,
Bo któreż serce bez rany?

O! jak w téj ciężkiéj życia nawalnicy,
Słodkiém, cudownem jest twoje przybycie,
Ledwie z wezbranéj wytryśniesz źrenicy,
I jużci lżejszém jest życie.

Wraca odwaga, powracają siły,
Boską rozkoszą orzeźwia się dusza,
I do tych ofiar, co tak trudne były,
Zmężniałą cnotę się zmusza.

Piękny, wyłączny człowieka udziale!
Tobie tę cenę same dały nieba,
Ażeby wszystkich win przeważyć szalę,
Jednéj łzy tylko potrzeba.

Bóg to! Bóg ciebie w naszą istność wsączył,
On to nas w twojéj słodyczy przenika,
On to tak ścisłym ogniwem cię złączył,
Z każdą dolą śmiertelnika.

Tobą świat wita, z tobą z świata schodzi,
I tobą każdy ślad życia oznacza,
Tobą się z sercem rozdwojoném godzi,
Tobą pociesza, przebacza.

Ciebie on czeka, gdy boleść go tłoczy,
Ciebie z serc wszystkich w zgonie przywoływa,
I wtenczas nawet gdy cię już nie zoczy,
Jeszcze cię na grób przyzywa.

TĘSKNOTA.

Gdy życie twoje jeszcze w kwiecie prawie,
Biegnij młodzieńcze, gdzie cię myśl porywa,
Marząc o szczęściu, miłości i sławie,
Wszędzie cię czeka obecność szczęśliwa;
Biegnij młodzieńcze, póki czas ci sprzyja,
Co szybko mija,
Zbiéraj porywczo lubych marzeń kwiaty,
W które bogaty,
Nadal ubarwisz te smutne przestrzenie,
Gdzie już nie kwitnie jak tylko wspomnienie.

Lecz gdy poranek już wieku przeżyłeś,
A ciągłą smutnych doświadczeń koleją,
Tę jednę prawdę w zdobyczy nabyłeś:
Że życie tylko męką, lub nadzieją;
Ach! wracaj wtenczas w te znajome strony,
Kędyś zrodzony,
Kędyś w twém sercu przez zbyt tkliwe bicie,
Rozpoznał życie;
Tam się zastanów, i w cichéj ustroni,
Połóż kres błędnéj omamień pogoni.

Bo cóż nagrodzi tę czułą tęsknotę,
Ten żal ukryty w mnogich wspomnień tłoku,
Gdy obcość twoję otacza istotę,
Obcość, co nawet na twym działa wzroku;
Gdy już młodości czarowna zasłona,
Przez czas zniszczona,
Bez złudzeń blasku to wszystko odkrywa,
Co szczęście zrywa;
Ach! wracaj wtenczas po tak błędnym biegu,
Choć chwilę spocząć na ojczystym brzegu.

J. Max. Hr. Fredro.

TRZY CHWILE.

Trzy razy wdzięcznie świat się uśmiécha,
Do nieszczęsnego człowieka;
Ale szczęśliwość do któréj wzdycha,
Ta aż za grobem go czeka.

W dziecinnym wieku, jak kwiat wiośniany,
Do lubéj matki się tuli.
Nie wié, bo tkliwie od niéj kochany,
Że są na świecie nieczuli.

W matce znajduje szczęście jedynie,
I do innego nie wzdycha.
Wtedy to, wtedy małéj dziecinie,
Świat się raz piérwszy uśmiécha.

Kiedy słodkiemi spojon ogniwy,
Znajdzie człek duszę swéj duszy,
Drogiéj kochanki rzut oka tkliwy,
Nieznane czucia w nim wzruszy;

Wtedy z swą lubą szczęsny młodzieniec,
Rozkoszą samą oddycha,
Wtedy wieńczonym w małżeński wieniec,
Raz drugi świat się uśmiécha.

Kiedy nareście słodkie nadzieje,
W skutek się zmienią żądany,
Piérwsze się do nas dziécię rozśmieje,
Na łonie żony kochanéj;

W tedy się, wtedy rozkosz wysili,
Najtkliwsze czucia roznieci,
Po raz ostatni, ale najmiléj,
Świat się uśmiéchnie raz trzeci.

Pomnij, trzy razy świat się uśmiécha
Do nieszczęsnego człowieka;
Ale szczęśliwość do któréj wzdycha,
Ta aż za grobem go czeka.

St. Jachowicz.

MÓJ SWIAT.

DO ***

Luba! gdy mnie wesołość i szczęście otoczy,
Czemuż odgłos wesela mych cierpień nie płoszy,
Czemuż zwracając w koło obojętne oczy,
Stoję, jak smutny cyprys śród gajów rozkoszy?

Agdy jestem przy tobie, kiedy widzę ciebie,
Wnet i szczęście i radość w mém łonie ożyje;
Dusza moja ulata po nadziei niebie,
Oko me żywiéj płonie, żywiéj serce bije.

O luba! tak — bo dla mnie dzisiaj dwa są światy;
Jeden obszerny, pusty, kędy ciebie niéma,
Tam zgasł dla mnie blask słońca, tam powiędły kwiaty,
Tam smutno, tęskno — wieczna tam panuje zima!

Drugi, jest ustroń mała, od ludzi daleka,
Ustroń, gdzie ty przebywasz anielska istoto!
Do niéj wzdycha me serce, do niéj myśl ucieka,
Pozbawiona nadziei, dręczona tęsknotą.

Tam uśmiécha się szczęście, tam niebo ci sprzyja,
Tam nową codzień szatę przywdziéwają drzewa,
Tam wiosna codzień świéższe róże ci rozwija,
Tam ptaszek czulszą codzień piosenkę ci śpiéwa!

Samotny, po téj tylko błąkam się ustroni,
Jak wygnaniec od reszty świata oddzielony;
A gdy los i téj jeszcze rozkoszy mi wzbroni,
Niestety! gdzież się zwrócę, w któreż pójdę strony?

K. Gaszyński.

DO MŁODÉJ DZIEWICY. *

Widząc nieraz twe oczy uroszone łzami,
Pytałem się na jakich rozkoszach ci zbywa;
Tyś mówiła, smutnemi zajęta myślami:
"Płaczę, bom nie jest szczęśliwa!

"I gdy chcąc zbadać duszę żalem udręczoną,
Nieraz matka z dobrocią przed siebie mnie wzywa,
Głos skona mi na ustach, i lica zapłoną;
Płaczę, bom nie jest szczęśliwa!

"Jeśli piosnka słowika śród gaju mnie wzruszy,
Niewiém dlaczego zaraz i smutek przybywa,
Nie pojmuję nagłego wzruszenia w méj duszy,
Płaczę, bom nie jest szczęśliwa."—

Dziewico! smutki twoje nie długo przeminą!
O! nigdy taka rana niezgojną nie bywa;
Czułe serce, wiek młody, są łez twych przyczyną,
Kochaj, a będziesz szczęśliwa!

K. Gaszyński.

* Naśladowanie.

ŻEGLARZ.

Od własnych brzegów, od ojczystéj chatki,
Odepchnął łódkę, puścił z biegiem wody,
Rybak młody.
Na mętnym wirze chce zarzucić siatki;
Ale zaledwo na pośrodku rzeki,
Słyszy głos daleki.
To mu się zdaje że niebo otworem,
Pieśni aniołów wznoszących się chorem,
Przepuszcza na ziemię,
Błogosławić ludzkie plemie;
To znowu jakby w jeden dźwięk stopione,
Zdają się w jedną przywabiać go stronę.
Nieznana potęga
Aż do głębi serca sięga;
Nad drogie życie, droższy mu głos miły.
Zbiéra, natęża wszystkie razem siły,
Dwakroć napiéra wiosła,
Podwaja falę co za wolno niosła,
Spienione w tyle zostawuje ślady.
Za nim już zorza rozlały świt blady,
Przed nim mgła jeszcze leżała széroko,
Na krzyżu tylko mogło spocząć oko,
Co nad kościołkiem, jak z nocy się cisnął,
By piérwszy światłem przewodniém zabłysnął.
Za zakrętem, gdzie gaj ciemny,
Nęci, wabi głos przyjemny;
Za zakrętem łódka staje,
Głos za skałą bydź się zdaje;

Tza skałę już zapływa,
Głos śród łąki się odzywa;
I już blisko kwietna łąka,
Głos się jeszcze daléj błąka;
Tak daléj, daléj, coraz daléj płynie
Żeglarz niestrudzony,
I coraz, coraz daléj lube tony
Dźwięczą po dolinie. —
Minął i ranek, minęło południe,
W wieczornéj rosie dzienny promyk chłódnie,
Już i płonęły zachodnie krawędzie,
Już téż i brzegi coraz dziksze wszędzie,
Coraz dziksze puszcze;
Gdzie niegdzie tylko na pół zwiędłe bluszcze
Z wapnistych głazów mdłe zwieszają kosy;
Głogi bez liścia, i wyschnięte wrzosy;
Wietrzyk nawet nie porusza,
Uszła czująca, lub zamilkła dusza. —
Aż nareszcie głos wabiący,
Jak lutni dźwięk drżący,
Co na wieszcza lichym grobie
Wiatr wytrąci w nocnéj dobie,
Umilkł — zniknął w wiecznéj ciszy.
Żeglarz jak serca w swém łonie nie słyszy,
Westchnął, i okiem rzucił w koło siebie —
Nié ma dla oka punktu w ogromnéj naturze,
Bezdenność w dole, nieskończoność w górze.
Jeden tylko obłoczek sunął się po niebie,
Zdobił i smucił razem niezmienność sklepienia. —
Głos był *Nadziei*, obłok *Wspomnienia*.

Alex. Hr. Fredro.

OSTATNI TOAST.

I.

Ha! jeszcze toast! naléwajcie w koło!
Lecz chwila krótka, trzeba pić z pośpiechem.
Wesoło tylko, proszę was, wesoło,
Lżéj się jest żegnać, żegnając z uśmiechem.

Niech Żal, co na mnie z łzawemi oczyma,
Towarzysz drogi, czeka za wrotami,
Z waszą pamięcią nic wspólnego nié ma;
Poznam go naprzód — rozstawszy się z wami.

Tyleśmy słodkich z sobą lat przeżyli,
Oby ich szereg wspominając długi,
Nikt z nas nie znalazł jednéj takiéj chwili,
Którejby przeżyć nie śmiał już raz drugi.

Naléwaj! wino niech smutek ukoi!
Nie chcę się smucić, póki bawić mogę.
Za zdrowie wasze, przyjaciele moi!
Wy za szczęśliwą przyjaciela drogę!

II.

Któż wié czy kiedy będziemy znów społem
Jak dziś, żal słodzić pociechą wzajemną?
Lecz gdziebądźkolwiek za biesiadnym stołem,
Puhar się jeszcze zaiskrzy przedemną,

Niech będzie gorzki, jak ten, co go piję,
Jeśli jak bóstwu, dla waszéj pamięci,—
Wprzód niż z ust moich zabrzmi imie czyje,—
Myśl moja piérwszych kropel nie poświęci.

Wy téż gdy kiedy będziecie w swém kole,
Smucić się po mnie, lub bezemnie bawić,
Pomnijcie zawsze w sercu i przy stole,
Nie zapełnione miejsce mi zostawić.

Bo gdy dla niego, rad wszystkie porzucę,
A wy méj prośby pomnieć nie będziecie,
Nie mając miejsca, kędyż się obrócę?
A równe temu, gdzież znajdę na świecie?

III.

Cóż to za hałas?— ha! dzwonek pocztowy.
Przez litość bracia! niech puharów brzęki,
Niech śmiech, niech pieśni, niech głośne rozmowy,
Stłumią w mém uchu te straszliwe dźwięki.

I jeszcze toast! — jeden i ostatni!
Lecz niech i w saméj chwili pożegnania,
Zbierze z ust waszych pocałunek bratni
Krople radości. — Lecz czyjeż to łkania?

Daj mi twój puhar! ty! co tak pomału
Do ust go chylisz, jakbyś przełknąć nie mógł,
Daj go! zdradziła przejrzystość kryształu,
Że żal niewieści nad twém sercem przemógł.

Daj! ja wypiję — tyś skończyć nie w stanie,
Łzy twe zatruły ci nektar wesela.
Mnie gdy co może osłodzić rozstanie,
To łzy takiego, jak ty, przyjaciela.

An. Edw. Od.

DO OBŁOKU W GÓRACH.

Czém ty jesteś obłoku! który na przestrzenie
Piorunny rzucasz postrach, albo nocne cienie,
Albo zatopy nosisz, lub widziany z dala,
Toś jest orłem Jowisza, to wozem Fingala,
Albo błyszczysz w świtaniu ogniem gorejącym,
Gdy się ścielesz przed królem jasnych dni wschodzącym?

Próżny wewnątrz i zimny, zewnątrz okazały,
Bo jego cię promienie złotem przyodziały,
Niepomny żeś syn ziemi, z ziemi wyniesiony,
Nie dopuszczasz promieni na łaknące plony,
Przed ludem kochającym, twarz ojca zasłaniasz,
Miłą mieszasz pogodę i światła mu wzbraniasz.
Parą jesteś nikczemną, a król dnia widomy,
Świecić będzie, gdzieś rzucał i cienie i gromy,
Z wiatrem, co ciebie wyniósł, przeleci twa chwała,
We łzach wsiąkniesz w tę ziemię, co ciebie wydała.
O! spiesz raczéj nad niwy, gdzie omdlałe kłosy,
Nadziei pełne, twojéj wyglądają rosy,
Nad ogródek, gdzie skrzętna córka gospodarzy,
Mirt sadząc, o kochanku i o godach marzy.
Wyniesionyś ku słońcu, nie na to byś dziwił,
Lecz abyś z niém w przymierzu, ochładzał i żywił.

Kazimierz Brodziński.

ŁZA.

Na śniegów pościeli śpi promień xiężyca,
Choć chłodno i wietrzno, do grobu kochanka
Codziennie wieczorem przychodzi dziewica,
Modli się, i wzdycha, i płacze do ranka.

Choć chłodno i wietrzno, ni śnieżne zawieje,
Ni wicher kochanki nie straszy zimowy,
Na grobie miłego dziewica łzy leje,
I łza jéj raz padła na kamień grobowy.

Łza była gorąca, lecz wiatrem zmrożona,
Przystygła do głazu śród nocnéj zamieci;
Jak szronu perełka na drzewie zwieszona,
Noc całą, dzień cały, na mogile świeci.

Wtém postrzegł to Anioł, i łezkę na grobie
Przeziębłą w promienne pochwycił wnet dłonie;
Stąd Litość ją w niebie podobała sobie,
I perłę tę na swéj zwiesiła koronie.

Julian Korsak.

DO N... B...

Słyszałem, piękna! jak z ust twoich brzmiały
Wilii, Niemna, pokrewne imiona;
Ledwo je usta twoje dośpiéwały,
Zgadłbym niewiedząc, żeś w Litwie zrodzona.

Bo w twoim głosie takie było czucie,
Tak był z westchnieniem zda się nastrojony,
Że myśl tę w każdéj słychać było nucie:
Ach! tam i moje są rodzinne strony!

Błogosławiona lutnia Wajdeloty,
Którego pieśni usta twe zanucą!
Z ust twoich hymny wesela, tęsknoty,
Rychléj pocieszą, i miléj zasmucą.

Miałem sny piękne, i senne marzenia
Nieraz myśl w kwiaty ustrajała swoje,
Promień piękności, muzyki westchnienia,
Senny wzrok, ucho zachwycały moje;

Lecz dziś, co tylko o pieśniach i wdziękach,
We śnie, na jawie, marzyłem, dumałem,
W twojego śpiéwu melodyjnych dźwiękach,
W twoim anielskim uśmiéchu poznałem.

Julian Korsak.

DO Z. M.

W IMIONNIKU.

Piękna! każesz mi śpiéwać, będę ci więc nucił,
Bom nigdy prozb piękności na wiatr nie odrzucił.
Lecz gdy już wdzięków twoich zasłużona chwała,
W pieśniach przez nie natchnionych po tylekroć brzmiała,
Gdy już sławę śpiéwaka imie twe podziela,
Nacoż ci wędrownego zda się pieśń Minstrela?
Dzwięk jéj, jak echo dolin, chwili nie przeżyje,
Dusza nią twa nie zabrzmi, pamięć nie odbije,

I skona, jak ta nóta wędrownych żurawi,
Gdy lecąc w cudze strony za przyjściem jesieni,
Nucą, lecz głos ich w mglistéj gubiąc się przestrzeni,
Nigdzie echa nie wzbudzi, nigdzie nie zostawi.

Julian Korsak.

DO S. B.

W IMIONNIKU.

Minęły chwile szczęśliwsze niestety!
Kiedy na błoniach był kwiatów dostatek,
Kiedy mi łatwiéj było o bukiety,
Niżeli teraz o kwiatek.

Ryknęły burze, ciągłe leją słoty,
Trudno wynaleść na ojczystéj błoni,
Trudno wynaleść, gdzie kwiat błyskał złoty,
Listka dla przyjaznéj dłoni.

Co wynalazłem, niech tobie poświęcę,
Przyjmij go wdzięcznie, chociażby z téj miary,
Że był ten listek w przyjacielskiéj ręce,
Że to ostatnie są dary.

Adam Mickiewicz.

1824 r. 24 *Października w Wilnie.*

DO ALINKI.

W IMIONNIKU.

Posłuchaj Alinko miła,
O twych i moich odmianach:
Tyś się na świecie zjawiła,
Gdym się ja zjawił w *Giełwanach*.

Odróżnieni tylą laty...
Jam cię nieraz brał na ręce,
Podawał ci cacka, kwiaty,
Wdzięczny uśmiéch brał w podzięce.

Ledwoś z szczebiotań dziecinnych
Zaczęła mówić wyraziéj,
Jam usłyszał z ust niewinnych,
Drogie mi imie przyjaźni.

Już Alince wiek poranny
Niedługo się w wiosnę zmieni,
Mnie pęd trosków nieustanny
Rychléj nagnie ku jesieni.

Wzajemne pójdą koleje: —
Alinka moim przykładem,
Wtenczas gdy ja zdzieciniejęę,
Igrać będzie z starym dziadem.

Schylonemu na dół laty
Ku pomocy poda rękę,
Poda m: owoce, kwiaty,
Uśmiéch weźmie za podziękę.

m ienim stany, lata, twarze,
Lecz uczuć nigdy nie zmieniém;
Ja gasnący cię obdarzę
Drogiém przyjaźni imieniem.

Stanisław Golicki.

ODPOWIEDŹ NA PRĘDCE.

Zwiesz mię Pani wesołym i grozisz niewiarą,
Jeślibym się poważył rozróżnić w tém z Panią;
Oby grożąca była sprawiedliwą karą,
Lub szczerość nie kazała narażać się na nią!

Lecz wesołość jak szczęście, nie jest w naszéj mocy.
Pani mię tylko swojém oglądasz spojrzeniem,
A cóż za dziw, że słońce nie widziało nocy,
Gdy ją samo za piérwszym rozprasza promieniem.

An. Edw. Od.

MOREL.

Morel podajesz mi z drzewa,
Drzewko udatne i giętkie
Majowa szata obwiewa.
Mają-ż-li rajskie ogrody,
Drzewko tak pięknéj urody? —
Ach! to jéj kibić!

Morel ten dojrzał dziś z rana,
A jak na jasnym gór śniegu
Różowa barwa rozlana,
Barwa zachodnich promieni,
Tak się ten morel rumieni. —
Ach! to jéj lica!

Patrz, co świéżości i woni,
Jak aksamitny w dotknięciu!
Słodko go pieścić na dłoni,
Słodzéj przytulić do twarzy,
Kiedy ją miłość rozżarzy. —
Ach! to jéj rączki!

Patrz, ilą krasy wzrok mami
Ta na nim rosy perełka!
Chciwie ją zbiéram ustami,
Wprzód nim ją promyk wypije,
Wprzód nim ją powiew odbije. —
Ach! to jéj łezka!

Alex. Chodźko.

FIJAŁEK *

Skromnéj barwy i woni,
Kwitł fijałek na błoni,
Fijałek maleńki.
Pasterka biegła po łące,
Zbiérając zioła kwitnące,
Daléj, daléj,
Słodkie śpiéwając piosenki.

„Ach! gdybym ja w téj dobie,
Myślał kwiatek sam w sobie,
Miał kraśnéj róży wdzięki;
Możeby ona mię wzięła,
Może u piersi przypięła,
Ach! przynamnie
U swojéj białéj sukienki."

Lecz pasterka przebiegła,
Fijałka nie postrzegła,
Zdeptała kwiat maleńki.
Konając jeszcze zawołał:
"Gdym się podobać nie zdołał,
Dzięki, dzięki!
U nóg jéj konam — dość dla mnie.

An. Edw. Odl.

* Z Göthego.

POŻEGNANIE.

SONET

Bądź zdrowa, ty coś w koléj lubemi uśmiechy,
Słodziła zimnym wzrokiem zadawane męki;
Coś w koléj z uwielbianéj podawała ręki,
Nektar szczęścia, jad żalu, i balsam pociechy!

O! jakże czas lotnemi uniósł mi pośpiechy,
Chwile, w których się twémi zachwycając wdzięki,
Ku ich czci niemyślane nuciłem piosenki,
Okolicznemi dotąd powtarzane echy.

Oprócznich, wszystko znikło jak senne marzenia.
Czyjże mi teraz uśmiéch łez osuszy zdroje?
Kto myśl natchnie? dla kogo lutnię mą nastroję?

Milczeć będzie okryta pyłem zapomnienia,
Lub gdy zabrzmi, wstrząśniona przelotem westchnienia,
To chyba moję żałość, albo imie twoje.

***

1826 r. *Czerw.* 22.

ODDALONY.

I.

"Rozwesel lice cudzoziemcze młody;
Poprzestań tęsknić za północnym krajem,
Niebo stalszemi świéci tu pogody,
Bogatszym ziemia kwitnie urodzajem.

Pójdź lepiéj w gronie nowych przyjacieli,
Skroń swą bluszczowym przyozdabiać majem;
Pieśń żal ukoi, wino rozweseli
Posępną tęskność za rodzinnym krajem.

A niebios warte dziewice téj ziemi,
Jeden wzrok, uśmiéch, sam nazwiész ją rajem:
Pójdź przyjacielu! pójdź z nami i z niemi,
Zapomnieć tęsknot za rodzinnym krajem.—

II.

"—Dzięki za czułéj przyjaźni dowody,
Obyś podobnych nie wymagał wzajem!
Nigdy daleki od ojców zagrody,
Nigdy nie tęsknił za rodzinnym krajem!

Miłe mi niebo, miła ziemia wasza,
Miła z gościnnym uczta obyczajem;
Lecz pieśń obudza, wino nie rozprasza
Posępnych tęsknot za rodzinnym krajem.

Znam waszych dziewic wdzięki i uśmiechy,
Lecz świat raz tylko miłość czyni rajem;
Więc przyjacielu! gdy chcesz méj pociechy,
Pozwól mi tęsknić za rodzinnym krajem.

* * *

ŁZY

DO * * *

I.

Kiedy z przeznaczeń ludzi, lub nieba,
W kraj jadącemu daleki,
Wszystko co miło, porzucić trzeba,
Porzucić może na wieki;
Pierś wre wulkanem, a łza co płynie,
Jak potok lawy twarz pali.
Pomnisz, w ostatniéj szczęścia godzinie,
Gdyśmy się z sobą żegnali?

II.

Lecz gdy już stanął na obcéj ziemi,
Śród obcych zaczął żyć ludzi,
Gdy mgła posępna przyszłość zaciemi,
Obecność dręczy lub nudzi,
A przeszłość w łzach się tylko maluje;
Łzy wtedy ulgą w żałobie.
Jedną co mogę, jedną co czuję,
Samotnie myśląc o Tobie.

III.

Aż gdy cierpliwych, wiernych statecznie,
Bóg się nakoniec użali,
I oddalonych połączy wiecznie,
By siebie wiecznie kochali;
Jak muszą słodkie być łzy, co wtedy
Jedynym uczuć tłumaczem!
O moja luba! kiedyż my kiedy,
Takiemi łzami zapłaczem?

***

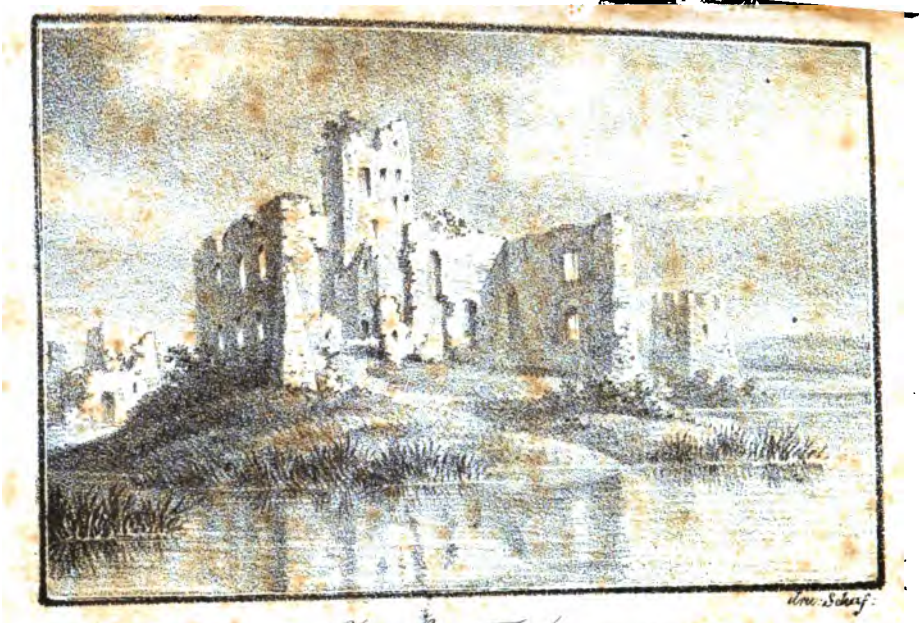

Ruiny Zamku Trockiego na jeziorze.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

O ZAMKU TROCKIM.

Dwoje jest Trok w Litwie, stare i nowe. Piérwsze, dziś nędzna wioska, były niegdyś przez lat cztéry stolicą potężnéj Litwy. Założył je Gedymin w r. 1321, na pamiątkę pomyślnych w tém miejscu łowów i nazwał Trokami, stąd, iż wszyscy otaczający go wówczas myśliwi, rozmaitą zwierzyną troki swe napełnili; z czego rokując Gedymin już to szczęśliwą wróżbę, już obfitsze w tém miejscu knieje, stolicę swą w tymże roku z Kiernowa do Trok przeniósł, i w nich aż do założenia Wilna utrzymał.

Po śmierci Gedymina, Troki stały się udziałem syna jego Kiejstuta, jednego z najznakomitszych bohaterów, nie tylko Litwy, ale i wieku swojego. On to założył Troki nowe, wraz z obudwoma zamkami, większym i mniejszym. Większy, nad samym prawie brzegiem ze trzech stron miasto oblewającego jeziora, w bardzo już małych szczątkach dzisiaj widzieć się daje. Drugi, mniejszy, którego ruiny wizerunek wyraża, leżał na wyspie o kilka set kroków od brzegu i nadbrzeżnego zamku odległéj. Dotąd przy zniżonéj wodzie, widzieć można resztki palów, łączącego je kiedyś mostu.

Żaden szczególniéj ważny wypadek w dziejach litewskich, nie wiąże się bezpośrednio z Trokami, oprócz że były mieszkaniem Kiejstuta. Lecz męstwo jego, nie pod murami swéj stolicy nieprzyjaciół czekało. Granice Litwy, Polska, Inflanty, a mianowicie ziemie krzyżaków Pruskich, były teatrem i świadkami czynów, zwycięstw, przeciwności, a zawsze wielkiego umysłu Kiejstuta. W ciągu wieloletnich jego z różném szczęściem wojen, mieszkańcy Trok wtenczas tylko nieprzyjaciół widzieli, gdy ich w pełnym rynsztunku, na podziękowanie Bogom za pomyślną wyprawę, na świętych stosach palono, i nie wprzód zbroje krzyżowe groźnie pod murami

Trockiémi zabłysły, aż sam W. Xiążę Litewski Jagiełło, na dobro poddanego kraju, na związki krwi i przyjaźni, na sędziwość wieku stryja Kiejstuta i na wielką jego chwałę niepomny, zawezwał przeciw niemu Konrada Zölnera W. Mistrza Pruskiego, i znim podczas oddalenia się Kiejstuta do ziemi Siewierskiéj, obległszy Troki, zdobył je po kilkodniowym oporze. Nie mogąc pospieszyć ku odsieczy, spieszył się na ich odzyskanie Kiejstut, i nie zlęknion świeżemi posiłki Krzyżaków, już był swe wojsko do walnéj przeciw nim uszykował bitwy, gdy za namową Krzyżaków pod pozorem układów do obozu Jagiełły zwabiony, i tam wraz z synem Witołdem pojmany, w więzieniu Krewskiém wkrótce życie zakończył.

Na rękę była Zakonowi wewnętrzna Xiążąt Litewskich niezgoda; godziwe wszelkie środki, któremi ją mogli podniecić; pożądana każda sposobność wmieszania się w sprawy sąsiadów, skoro w tém własne upatrywali pożytki. Podał im ją niebawnie chciwy pomsty za śmierć ojca Witołd, gdy za pomocą swéj żony uszedłszy z Krewskiego więzienia, przybył na dwór Mistrza Pruskiego szukając przeciw w Litwie posiłków. Obietnicą hojnéj nagrody raczéj, niż pozornym chrztem Witołda zniewolony Zölner, sam w towarzystwie jego, z liczném woj-

skiem Rejtarów i Knechtów wtargnął w granice litewskie, i między innémi oba zamki Trockie, taranami i strzelbą do połowy zniszczywszy, po zaciętym szturmie opanował. Ale nim je Krzyżacy ku swéj obronie naprawić i umocnić zdołali, oblężeni zkolei przez Jagiełłę, wkrótce z nich ustąpić musieli. Jagiełło zamki naprawił i zapewne lepiéj niż przedtém umocnił, gdyż poźniéy we cztery lata w r. 1387 oparły się dwóm usilnym szturmom Krzyżackim, którym, po drugi raz do Prus zbiegły Witołd przywodził. Zdobył je wszakże i spalił w r. 1390. gdy po raz trzeci z Mistrzem Krzyżackim Konradem Wallenrodem i Krzyżownikami niszczył Litwę i ciągnął na Wilno.

Na tém się kończą dzieje wojenne zamków Trockich. Znać musiano je odbudować po ostatniém spaleniu; gdyż w dalszych latach były mieszkaniem samegoż Witołda, który tam nawet życie swoje zakończył: w nich także mieszkał i zabity został brat i następca Witołda, Zygmunt Kiejstutowic, o czém dosyć obszernie mówią kroniki litewskie.

Po unii Litwy z Polską, Troki stały się stolicą województwa; teraz są tylko powiatowém miasteczkiem.

OSTATNI CZŁOWIEK *

PRZEZ

JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA.

Wiersz czytany na publicznem posiedzeniu towarzystwa przyjaciół nauk dnia 15 *Grudnia* 1828.

I.

W POSĘPNÉJ nocy w krótce się pogrążą,
Znikomego świata twory;
Już gwiazdy zwykłe porzuciwszy tory,
Do kresu biegów swych dążą.
Zagaśnie słońce, przerwie bieg wspaniały,
Straci całą swoję dzielność,
Nim ten śmiertelny jeden pozostały,
Zacznie swoję nieśmiertelność.

* Z angielskiego Autora P. Campbell.

II.

Noc mnie okryła swym cieniem,
Sen zmysły moje zachmurzył;
Duch jakiś silnym wzniósłszy mię ramieniem,
W przepaści czasów zanurzył;
Widziałem jak ostatni z ludzkiego plemienia,
Patrzył na świata skonanie,
Jak niegdyś Adam, w piérwszy dzień stworzenia,
Patrzył na jego świtanie.

III.

Omdlała jasność słonecznych promieni,
Wyschła ziemia od starości;
Człek ów, sam jeden śród smutnéj przestrzeni,
Podniósł powieki swe drżące,
Na rozrzuconych narodów tysiące
Zbutwiałe kości.
Ci polegli śród bojów i oręża szczęku,
Jeszcze w skościałych ich ręku
Rdzą zaszłe stérczy żelazo;
Ci głodem, owi zeszli morową zarazą.
Po pysznych grodach cichość przeraźliwa,
Bez ludzi gmachy i wyniosłe stropy;
Głuche milczenie, ani się odzywa
Odgłos przechodzącéj stopy.

IV.

Płyną okręta, na nich trupy same,
Ku brzegom, gdzie już zagasły kagańce,
Dążą mijając usypaną tamę,
Do portu, gdzie już wymarli mieszkańce.

V.

Tymczasem człek ów na świata ruinach,
Sam jeden stoi, i miota zuchwale
Ciężkie swe żale;
Głos ten jak burza, po lasach, dolinach,
Pędzi, a wir jéj gdy po puszczy łata,
Z żółkły liść zmiata.
Woła: "o słońce, pyszne twą postacią!
W śmierci obydwaśmy bracią.
Zamierzonego kresu gdyś przeszło granice,
Z ziembły twe lice.
Jeśli wątpliwe jeszcze twoje hasło,
Jeżeliś całkiem niezgasło,
Gdzie się kończy twoja droga,
W tém litość Boga!
Przez wieków setne i setne tysiące,
Natrzałoś na potoki łez ludzkich płynące,
Dziś łzy te miarą przebraną,
Cieo już przestaną.

VI.

"Słońce! lubo w twém spojrzeniu,
Tajemnic ukrytych w cieniu
Pyszny człowiek chciwie bada,
Lubo przez ciebie żywiołami włada,
Podbija ogień i wody;
W znikomej chwały puszcza się zawody,
Na płótnie jasne rozléwa kolory,
I z głazów, życiem tchnące, wyprowadza twory;
Ja biegu twego nieżałuję końca.
Cóż nam przyniosła twa gwiazda świecąca,
O strącony z niebios Królu!
Od czasu jak te iskrzące sklepienia
Ognisty krąg twój przebiega?
Z mnóstwa frasunków i bolu,
Nieuleczyłoś jednego cierpienia,
Którym człek nędzny podlega.

VII.

"Oponę niepamięci nad ludzkiém plemieniem
Spuść na zawsze! .... z urocznémi wdzięki
Nie wracaj nowéj jutrzenki,
Niech więcéj swoim promieniem,
Nieoświéca już, długo, długo doznawanych,
Nędznego życia przygód opłakanych;
Niewracaj chwały zwodniczych zawodów,
Ni głośnych godów;

Nie lecz tych, co są boleścią dręczeni,
Na coż bydź mają leczeni?
By znów schli w mękach....by twarz ich z szpecona
Okropnych chorób srogie nosiła znamiona?...
By padli w bitwach....jak wilgotny rosą
Kwiat polny pada pod kosą?....

VIII.

"I jam znękany, po niebios przestrzeni
Śledząc bieg twoich mdlejących promieni.
Długo na męki me wzrok twój poziérał,
Nie patrz jak będę umiérał!
Albo patrz! ujrzysz jak wolen od trwogi,
Będę świadkiem strasznego zburzenia natury
Kiedy morza na lądy, a góry na góry
Runą okropnie szerząc łoskot srogi,
Ja choć noc czarnym kirem mnie okryje,
Świat ten przeżyję!

IX.

"Tak, dzień ów straszny siłą swoją dzielną
Duch mój przemoże!
O ty! coś dał mi iskrę nieśmiertelną,
Na łono twoje wrócę wielki Boże!
W ten czas się słodkie spełnią me nadzieje,
Dusza ma w poczcie wieków nieprzebraném,
O słońce! szczęściem nigdy ci nieznaném,
W nowém życiu zajaśnieję.

Ten da to życie, postać da nowéj istoty,
Co wydarł grobom tryumf, a śmierci jéj groty.

X.

"Dopóki jednak niebios przeznaczenia,
W pośród światów tych zniszczenia,
Każą mi się z śmiercią silić,
I dany człeku kielich goryczy wychylić;
Poki nie zgaśnie blask twój konający,
Idź słońce! niech się jeszcze otworzy twa brama,
Idź, powiédz nocy, co twarz twą okrywa,
Że ostatni syn Adama,
Na grobie świata sam jeden stojący,
Noc straszną do walki wzywa!
Idź, powiédz téj powszechnéj, okropnéj ciemności,
Smutne liczącéj ofiary,
Że nigdy nie zagasi méj nieśmiertelności,
Ani zachwieje méj wiary.

CZATY

BALLADA UKRAIŃSKA

ADAMA MICKIEWICZA.

Z ogrodowéj altany,
Wojewoda zdyszany,
Bieży w zamek z wściekłością i trwogą;
Rozemknąwszy podwoje,
Spojrzał w żony pokoje,
Spojrzał, zadrżał—nie znalazł nikogo!

Wzrok opuścił ku ziemi,
I rękami drżącemi
Siwe wąsy pokręca, i duma.
W tém się nagle odwrócił,
W tył wyloty zarzucił,
I zawołał kozaka Nauma.

"Hej kozacze, ty chamie!
Czemu w sadzie przy bramie
Niéma nocą ni psa, ni pachołka?
Weźmij torbę borsuczą,
I janczarkę hajduczą,
I mą strzelbę gwintówkę zdejm z kołka."

Wzięli bronie, wypadli,
Do ogrodu się wkradli,
Kędy szpaler altanę obrasta.
Na darniowém siedzeniu
Coś bieleje się w cieniu,
To siedziała w bieliznie niewiasta.

Jedną ręką swe oczy
Kryła w puklach warkoczy,
I pierś kryła pod rąbek bielizny;
Drugą ręką od łona
Odpychała ramiona,
Klęczącego u kolan mężczyzny.

On je cisnąc ustami,
On zlewając je łzami,
"Więc już wszystko, rzekł, wszystkom utracił?
Czyż i twoje westchnienia,
Czyż i ręki ściśnienia,
Wojewoda już z góry zapłacił?

"Ja choć z takim zapałem,
Tyle lat cię kochałem,
Będę kochał i jęczał daleki!
On nie kochał, nie jęczał,
Tylko trzosem zabrzęczał,
Krewni ciebie przedali na wieki!

"Ja po stepach, po błoniu,
Całe noce na koniu,
Biegnę tutaj przez chłody i słoty;
Bym cię witał westchnieniem,
I pożegnał życzeniem
Dobréj nocy, i słodkiéj pieszczoty."—

Ona jeszcze nie słucha,
On jéj szepce do ucha
Nowe skargi, czy nowe zaklęcia;
Aż wzruszona, zemdlona,
Opuściła ramiona,
I upadła w kochanka objęcia.

Wojewoda z Kozakiem
Przyklęknęli za krzakiem,
I dobyli z zapasa naboje;
Odcięli je zębami,
I przybili sztęflami,
Prochu garść i grankulek we dwoje.

"Panie! Kozak powiada,
Żal i strach mię napada,
By ją zabić, ja nie mam dość siły.
Gdym półkurcze odwodził,
Zimny dreszcz mię przechodził,
I łzy proch na panewce zmoczyły."—

—"Czyś oszalał ty chamie!
Nim ci karku nadłamię,
Tu róg z prochem leszczyńskim, na! tobie.
Podsyp zapał co żywo,
Przetrzyj suknem krzesiwo,
I pal do niéj, albo w łeb sam sobie."

"O tak!... dobrze!... pomału!..
Czekaj mego wystrzału,
Piérwéj musi polegnąć Pan młody—"
Kozak odwiódł, wycelił,
Nie czekając wystrzelił,
I ugodził w sam łeb — wojewody.

UPIOR

BALLADA MORLACKA.

I.

Tam na bagnach Morlocha,
Leży na wznak trup włocha.
Łeb mu kula strzaskała;
W sercu wbita tkwi strzała.
Trzeci miesiąc się kończy,
A krew jeszcze nie skrzepła,
Lecz czerwona i ciepła,
Z ran się sączy i sączy.

* Nigdzie wiara w upiory nie jest ani tak mocną, ani tak powszechną jak w Illiryi; one są pospolicie przedmiotem powieści i piosnek gminnych. Niniejsza ballada jest jednéj z nich wiernym przekładem.

II.

Rośnie broda, pazury,
Oczy patrzą do góry.
Niech kto żyje ucieka,
Upior wzrokiem urzeka!
Patrz, patrz, łakoma kupa
Wilków, sępów, wron, kruków,
Szarpią ciała hajduków,
Co leżą koło trupa;
Ale trupa omija,
Upior wzrokiem zabija.

III.

Krew na ustach i twarzy,
Usta śmieją się wściekle,
Śmiéchem spiących zbrodniarzy,
Gdy im śni się o piekle.
Chodź Marylko, chodź! żałuj,
Chodź uściśnij lubego,
Sine usta ucałuj!
Kraj zdrądziłaś dla niego,
Dom rzuciłaś dla niego,
Całuj, ściskaj lubego!

Alex. Chodźko.

MIERZB Z DOMU BONCZA

KYTM

ALEXANDRA GRABI Z WZCIEKLIC. *

Król Kazimiérz siadł na tronie,
Daléj Hetman, radne Pany,
Wojewody, Kasztelany,
I rycerstwo w liczném gronie.
A za niemi lud ciekawy,
Oczekiwał rzadkiéj sprawy.

* Piękny ten zabytek dawnéj polskiéj poezyi, zupełnie w rodzaju historycznych ballad angielskich, wywodzący początek nazwiska znakomitéj w kraju naszym rodziny, wyjątem z prywatnego rękopismu, gockim charakterem pisanego. *Przyp. Wyd.*

Gothard Krzyżak, Niemiec z rodu,
I Mierzb Polak, Bończa z domu,
Sławny z pohańców pogromu,
Na gardło w obec narodu
Odpowiedziawszy już sobie,
Mieli bój stoczyć w téj dobie.

"Bez szyszaka, bez pancerza,
(Tak królewski wyrok głosi)
Każdy bronią jaką nosi
Z przeciwnikiem niech się zmierza.
Bój się stwierdza i ogłasza.
Bóg z niemi i łaska nasza!"

Miecz Gotharda był kończaty,
I z pod Płowców na nim szczerby.
Na nim srébrne cyfry, herby,
Jeden krzyżyk, dwa wiwaty:
Ciąć nim trudno, a do pchnięcia
Sam się chylił od ujęcia.

Kord Polaka zakrzywiony,
Lśnił się niegdzie złotą żyłą,
Jezu Marja z jednéj było,
Za ojczyznę z drugiéj strony.
Jak się wznosił, ledwie błysnął;
Oddaj się Bogu, jak świsnął.

Ufny Niemiec w wzrost olbrzyma,
Na pośrodku jak dąb stoi;
Szumi, łaje, drwinki stroi,
Króla, świadków, w względzie nié ma.
Łatwo było łajać, szumieć,
Gdy go nie mógł nikt zrozumieć.

Lecz nie długo mowa trwała,
Przyszło wkrótce i do sprawy.
Zapęd wielki, spór był żwawy;
Śmierć lub zemsta, wstyd lub chwała!
Nié ma środka i wyboru,
Ten bydź musi koniec sporu.

Niemiec zwinny zdrad używa,
W lewo zmierzy, a pchnie w prawo,
Sztych po sztychu daje żwawo,
Nie da spocząć, nie spoczywa;
Aż się nareście utrudził,
Aż się Polak w końcu znudził.

Znudził śmiałością Krzyżaka;
I jak machnął w piérwszym kroku,
Miecz Niemca leżał na boku,
A Niemiec u nóg Polaka.
"*Friede Herr!** krzyknął w swéj mowie.
— "Żyj, mniejsza z tém" Mierzb odpowie.

* Zgoda Panie!

I powietrze głosy przedrą,
Frideher! krzyczą do koła;
Fridher! trzykroć naród woła,
Fridher! Frydro! w końcu *Fredro*!
I zwycięzcę wielbiąc razem,
Zgromionego zwie wyrazem.

Wstał Król i rzekł, gdy Mierzb śmiały
Z powagą głowy nachyli;
"Zwij się Fredro od téj chwili,
Jak cię nazwał naród cały;
Co niech męstwa, łaski, sztuki,
Pamięć zléwa na twe wnuki. —"

Bo i miło dla narodu,
Że się walka tak ukończa,
Że Mierzb Polak, herbu Bończa,
Starł Gotharda Niemca z rodu.
Że zwyciężył, że przebaczył—
Tak to Polak władzę znaczył.

POCZĄTEK POEMATU:

POWRÓT JEŃCA *

Któż zdoła pojąć radość, co przenika
Uwolnionego z kajdan niewolnika?—
Spytaj człowieka, gdy go omdlałego
W ziemię zagrzebią, a on się ocuci;
Czuje że żyje, że w grobie, że z niego
Nigdy do życia nie wróci;
A mógłby wrócić; — bo ach! jeszcze słyszy
Zasypujących swój grób, i na grobie
Śpiéwanie xięży, głos swych towarzyszy,
Słyszy ich łkania, ich żale po sobie,
I śmiech szyderczy grabarzy:
Głos jego wzajem dojdzie do ich ucha,
Dłoń ich wnet głazy grobowe odważy,
Byle zawołał; — lecz próżna otucha!

* Z niewoli tatarskiéj. — Rzecz poematu dzieje się w końcu XIII wieku.

Tłok coraz cięższy co mu piérś przywala,
Głosu nie puszcza, tchnąć już nie pozwala—
W wściekłéj rozpaczy jeszcze mu się zdaje,
Iżby rękami mógł go z siebie zrzucić:
Lecz prózno! ciężar rąk użyć nie daje,
By śmierć odeprzeć, lub choć męki skrócić....
Niech się go wtedy jaka moc użali,
Niech mu dłoń jaka mogiłę odwali,
Niech ujrzy słońce świécące pogodnie,
Wonném powietrzem odetchnie swobodnie,
I niech opowié radość, co przenika
Uwolnionego z kajdan niewolnika!
Gdy po dniach trwogi, wściekłości, rozpaczy,
Po dniach grobowym ciężących mu wiekiem,
Syn znow natury, twarz matki obaczy,
Człowiek, być zacznie wolnym—być człowiekiem.
Wszystko co ucho, co czuje źrenica,
Wdziękiem nowości brzmi, dziwi, zachwyca,
A jednak każdy i widok i brzmienie,
Dawnego szczęścia obudza wspomnienie.
Dusza z przedmiotu lecąc do przedmiotu,
Jak młody orzeł probujący lotu,
Niźli go śmielszy ku słońcu rozwinie;
Coraz się wzbija po niebios krainie,
Aż jako dziécię gdy do ojca wróci,
Na łono Boga z wdzięcznością się rzuci,
I w łzy niebieskie rozpłynie.

II.

Kto oddalony od rodzinnéj ziemi,
Od lubych braci, ojcowskiego domu,
Uczyć się musi pomiędzy obcemi,
Mówić nie czując: co czuje nikomu
Zwierzyć nie śmiejąc: bo jak zimne szrony
Upadłszy niszczą kwiat wpół rozwiniony,
Od zimnych spojrzeń równie musi ginąć,
Ufność mogąca, chcąca się rozwinąć;
Gdy myśl, gdy słowa, gdy uczucia jego,
Jako w pustyni głos obłąkanego,
Nie wzbudzą nawet odpowiedzi echa;
Gdy jego uśmiéch—jeśli się uśmiecha—
Zimny jak lampy nagrobkowéj blaski,
Nie rozpromieni niczy jego czoła;
Gdy łza, jak rosa upadła na piaski,
Których oschłości pomniejszyć nie zdoła,
Żadnego kwiatu nie znajdzie do koła,
By jego farby ożywić, by wonie
Jego orzeźwić, by na jego łonie,
Jak drogi brylant lub perła błyszcząca,
Z wracającego igrać blaskiem słońca;—
Lub jeśli z duszą nazbyt przepełnioną,
Na czyjekolwiek chce się rzucić łono,
I tylko ręce—gdy tamten odskoczy,
I zpodziwieniem patrzy mu się woczy—
Które na tkliwy uścisk się otwarły,
Skrzyżuje na swéj piersi—jak umarły,
I bydź nim wreście zażąda:
Ten niech opowié co czuł, co doświadczył,
Gdy znowu wraca, gdy znowu ogląda,
Co już nie sądził by kiedy zobaczył,

Cel swoich westchnień, przedmiot swéj tęsknoty,
Rodzinne miejsca, kochane istoty!
Gdy wzrok, gdy uśmiéch, gdy uścisk ich tkliwszy
Nagradza zda się czas co bez nich stracił;
Szczęsny! kto doznał téj chwili—szczęśliwszy!
Kto jéj tak drogo nigdy nie opłacił.

III.

Oba uczucia—a jednego trzeba,
By pojąć niebo i wznieść się do nieba,
Cóż gdy jak teraz połączone razem?—
Miotały sercem starców i młodzieńców,
Długo Zawolskiéj niegdyś hordy jeńców,
Wolnych nakoniec za Hana rozkazem.

IV.

Długo cierpieli nieszczęśliwi brańce.
. . . . . .

V.

Lecz już są wolni!—nieszczęść zapomnieli.
Wpośród witania, wpośród uściśnienia,
Swoich rodaków, swoich przyjacieli,
Swych towarzyszy broni i cierpienia;
Niechcą wspominać co wspólnie cierpieli;
Widać to tylko w ich znędzniałych licach,

Zapadłych oczach, przygasłych źrenicach.
Nie śmią określać co teraz doznają;
Lecz czują wzajem w łzach słodko płynących,
W sercach gwałtownie przy sobie bijących,
W pocałowaniach, w uściskach gorących,
Które swym nawet strażnikom oddają;
Srogim strażnikom! lecz w uniesień chwili—
Bóg czy przebaczy?—oni przebaczyli.

VI.

Wiosenne słońce pogodnie zachodzi,
Malując zlekka nurt rzeki przejrzystéj,
Wstrząśniony pędem rozżaglonéj łodzi,
Co ich przenosi do ziemi ojczystéj.
I wiatr i wiosła naglą ją do biegu,
Chwila, pół chwili, zawiną do brzegu.
Lecz długo szukać bezpiecznéj przystani;—
Niecierpliwością szaleństwa miotani,
Wzrok wznosząc w niebo, wyciągając dłonie,
Ci na brzeg skaczą, ci w głębokie tonie,
Walczą z ich prądem siłami żywszemi,
I już są wszyscy—na rodzinnéj ziemi.
O droga chwilo!—Ten padł na kolana,
Modlitwa jego łkaniem przerywana,
Jak potok nagle wezbrany nad brzeże,
Rzuca się z serca.... z ust wylać nie może.
Ów jakby nagłą przerażony trwogą,
Na brzeg zaledwo jedną wstąpił nogą,
I nie ruchomy, z usty otwartemi,
Z oczyma dziko na przód wlepionemi,

Zda się is totą jakąś skamieniałą;
Obiedwie ręce na sercu położył,
I tak je ciśnie, jak gdyby się trwożył,
By się mu serce z piersi nie wyrwało.
Inni w objęciach, rękami drżącemi
Wskazują tylko ku niebu, ku ziemi,
Ten giest ich całe uczucie wydaje:
To ziemia nasza! Bóg ją nam oddaje!.....

An. Edw. Od.

PODDANY

POWIEŚĆ

PRZEZ

IGNACEGO CHODŹKĘ.

Piotr był synem stolarza, i równie jak jego ojciec i całe rodzeństwo, poddanym bogatego Wojewody T.... Matka jego była mamką jedynego syna Wojewody; skutkiem jéj zasług mały Piotruś został chłopcem pokojowym małego wojewodzica. Przyjęto metrów i guwernerów do Pana, a słudze uczyć się czytać na wpół pozwolono, a na wpół kazano: Gniewał się i nadymał często Panicz, gdy nauczyciele

na zawstydzenie go i dla wzbudzenia w nim większéj do nauk ochoty, chwalili pojętnego i pilnego Piotrusia, który nauczywszy się w krótkim czasie czytać, z przysłuchiwania się tylko pojmował dobrze nauki i pisał ukradkiem prawie, ale daleko foremniéjsze litery, niżeli jego Pan, który przez kilka godzin na dzień, męczył się, płakał, gryzł pióra i nauczycieli.—Nakoniec Wojewoda dawny Jezuickich konwiktów wychowaniec, z własnego przykładu wróżąc dla syna w publicznéj szkole ochotniejszą naukę, i niemało ważąc przysposobienie mu ze szkolnych kollegów, przyszłych w publicznym obywatelskim zawodzie przyjaciół, postanowił go do niéj wyprawić. — Piotruś dość się poduczył jak na poddanego, Władysław potrzebował starszego sługi, a zatém Piotruś miał pozostać wdomu.—Natura nie rozdziela swych darów podług względów tego świata; Piotr miał w sobie wrodzoną do nauk zdolność, słuchał do tego codziennych napomnień, wktórych nauczyciele przekładali Władysławowi konieczną onych potrzebę i nieskończone z nich pożytki; i gdy Władyś przypominając zdania swych w dzieciństwie piastunek, nie bardzo wierzył tym uczonym wywodom, i bliżéj mniémał że Panu wielkiemu na nic, albo na bardzo mało uczoność się przyda; Piotr trafiał

zawsze po lekcyach na słowa matki "ucz się Pietrze, ucz się; Bóg cię pobłogosławi, gdy mię słuchać będziesz!"— Dowiedziawszy się więc że jego nadzieje wkrótce się już miały zakończyć, pobiegł z tą smutną nowiną do matki, która wnet ze łzami stanęła przed Wojewodą. "Czegóż chcesz? rzekł do wchodzącéj, kochana Maryno?—"Jaśnie Wielmożny Panie! mój Piotruś...."—"Bądź spokojna, przerwał omylony Wojewoda, twój Piotr od ciebie się nie oddali, nie pojedzie do szkół z moim synem, ale wezmę go do mojego dworu, bo mi powiadają że będzie zeń dobry chłopak."—"Ale bo ja przyszłam, rzekła rzucając się do nóg zdziwionego Wojewody, prosić JWPana, aby Piotr jechał do szkół z Paniczem."—"Jak to? albo on chce tego?"—"Ach! i bardzo!"—A tobież moja kochana, na co się przyda syn rozumny?—"Ja chcę JWPanie, rzekła szczérze prosta kobiéta, aby lepiéj umiał Boga chwalić i paniczowi służyć."— Wytrzymywał dotąd niecierpliwie tę scenę Pan Władysław, lecz dłużéj niemogąc dotrwać: "ja nie chcę takiego sługi, odezwał się mrukliwie;—nowe i nie bardzo przyjemne zdziwienie dla Wojewody;—Spojrzał na syna i po krótkim namyśle: "ty niechcesz rzekł, a dla czegoż niechcesz?"—Władyś milczał, wstyd mu było wyznać, że się lękał w szkołach piérwszeństwa Piotra-

nad sobą, i że już go w domu za to nie lubił. Ojciec pokilkakrotnie i surowszym tonem zapytanie powtarzał, aż nakoniec Pan Władysław się rozpłakał. Wojewoda wziął pod rękę xiędza Jana, który i w domu i w szkołach miał przewodniczyć wychowaniu Władysława, odprowadził go do odległego okna, i rzekł dobitnie i z cicha: "Xięże Janie! uważałeś wszystko?—Xiądz Jan się skłonił:—"Bardziéj serce niż głowę syna mego tobie poruczam;—xiądz Jan skłonił się znowu:—"a ty, odezwał się do syna, ponieważ Piotra sługą swoim mieć nie chcesz, więc go na służącego w szkołach dla xiędza Jana przeznaczam. Zostawi on mu, jak się spodziéwam, dość czasu i do nauki."—Jeszcze raz xiądz Jan się ukłonił: Wojewoda pożegnał chcącą mu do nóg upaść Marynę, a Piotruś przejąwszy matkę w sieni, dowiedział się z radością o wszystkiém, i poszli razem układać się do jutrzejszéj wyprawy.

Nazajutrz gdy już wszystko do wyjazdu Pana Władysława było gotowe, i gdy Wojewoda pożegnał na ganku, do pojazdu z xiędzem Janem wsiadającego syna, rzekł jeszcze do kłaniającego się mu Piotra: "no, pamiętaj, abym nie żałował, żem ci się uczyć pozwolił."—"Byłby z niego wyborny kredensarz, odezwał się stojący wśród innych dworskich Pan Mi-

chał Bałbasewicz, marszałek dworu Wojewody, ale kiedy się ten ptaszek poduczy, to kto wié co z niego będzie?—"Bydź może marszałkiem mego dworu, odpowiedział Wojewoda poglądając surowo na Pana Michała. Brunatny pons wystąpił na rumiane policzki Pana marszałka, poznał że niewcześnie wyjechał z uwagą, pokręcił czarnego wąsa i milczał, ale postanowił w duchu za najpiérwszą zręcznością wypłacić się za tę, jak powiadał, konfuzyę, komuż?—niewinnemu Piotrowi.

Pilnością i pojęciem przewyższał Piotr w szkołach nadzieje nauczycieli; ale ani jego łagodny układ, ani staranie i przestrogi xiędza Jana, ani kary nawet, nie ochraniały go od codziennego prześladowania, do którego urodzenie jego stawało się powodem. Każdy z jego kollegów, będąc w domu rodziców Paniczem, mniemał się bydź poniżonym siedząc w jednéj ławce z synem stolarza—pan Władysław bowiém każdemu to zaraz objawił—a że jeszcze stolarczyk (tak go po studencku przezwano) jak na złość lepiéj od wszystkich paniczów się uczył, musiał więc znosić to od kilkudziesięciu, co w domu znosił od jednego. Nieraz chciał wyrzec się wszystkiego i wrócić do rodziców; dobrotliwe jednak napominania xiędza Jana, i częste widywania się z matką pragnącą koniecznie jego nauki, u-

trzymywały go w szkołach. Ale gdy po latach kilku utracił matkę, a ojciec więcéj o własném rzemiośle, z którego liczne rodzeństwo żywił, niżeli o naukach syna myślał; gdy z wiekiem rozwijające się pojęcie, dotkliwiéj mu czuć dawało codzienne upokorzenie: gdy poznał, że w nieszczęśliwym swym stanie, przy największém swém ukształceniu, nigdy nie będzie mógł użyć najsłodszych praw człowieka; postanowił je sam sobie zapewnić, prościéj mówiąc, uciec ze szkół; dokądś sam niewiedział, lecz w upatrzonéj chwili ruszył w drogę.

Lat blisko dwadzieścia minęło. Na dworze Wojewody zapomniano że był Piotr na świecie, nawet Pan Balbasewicz, zawsze z honorem piastujący laskę, najzasłużeńszy z dworskich Wojewody, przestał już przypominać, że trafnie niegdyś przepowiedział zły skutek z nauk Piotra. Czas przyniósł już czérstwą starość Wojewodzie, pochylił ku ziemi xiędza Jana, uwieńczył mirtem skronie jego wychowańca, osypał szronem niegdyś kruczy wąs marszałka dworu, a nawet w tym przeciągu, urodziła się, wzrosła i za mąż wyszła, córka Wojewody. Zięciem jego został Podkanclerzy Litewski, z obowiązku swego większą część roku przemieszkujący w stolicy: ten, gdy raz z jednym z najpiérwszych

prawników warszawskich, Szambelanem Koniuszyńskim, radził w gabinecie o ważnym processie swojego teścia, niespodzianie w téj chwili z powodu tegoż processu od Wojewody przysłany, wszedł Pan Bałbasewicz; i po piérwszym przywitaniu oddał Podkanclerzemu listy od swego Pana. Pan Szambelan natychmiast wyjść pragnął, lecz zatrzymał go Podkanclerzy, zapewniając, że listy teścia właśnie zawiérać muszą rzecz, o któréj radzili, i wnet czytać je zaczął. Tymczasem ukłoniwszy się wzajemnie, rzucili na siebie okiem dwaj obecni goście; wzrok marszałka pokilkakrotnie padał na Pana Szambelana i zatrzymywać się zdawał; Pan Szambelan odszedł do okna i czytał gazetę. Przebiegłszy tymczasem podane sobie pisma Podkanclerzy, rzekł obracając się do Szambelana: "zgadłem mój kochany Panie Pietrze!.... Na to nazwanie jakby wypchnięty z kąta porwał się raptem i zawołał Bałbasewicz: "a niech mię szatan porwie! Jaśnie Wielmożny!!! — i nagle zamilkł, jakby wątpiąc czy się nie mylił.—"A toż co się znaczy? zapytał zdziwiony Podkanclerzy. Marszałek stał jak wryty, pokręcał wąsa i utopił wzrok w Szambelana. Był to wzrok sokoli, wzrok marszałkowski; wzrok który lękliwą dworską młodzież do wyznania figlów przymuszał,

winowajcę i winę poznawał; wzrok niestety! samemu niegdyś Szambelanowi znajomy — nie dziw więc że go w téj chwili aż do głębi serca przenikał. Nie cofając go Pan Bałbasewicz, odpowiadał niedbale Podkanclerzemu: "nic to JWPanie; rozumiałem, zdawało mi się..... i nawet iest podobieństwo....." Pan Szambelan tymczasem przebąknąwszy z wyraźném pomięszaniem niezręczną jakąś przyczynę pośpiechu, pożegnał krótko Podkanclerzego i spiesznie się oddalił. "Co to wszystko ma znaczyć? zapytał się powtórnie zdziwiony Podkanclerzy, wytłumacz się Bałbasewicz! — "Powtarzam JWPanie, że niech mię szatan porwie, jeżeli z tym Panem Szambelanem dawno się nie znamy.—"Co ci się roi! Szambelan Koniuszyński jest podobno z Podola, a ty z Litwy; on młody, a ty.....—"Koniuszyński! patrz jego! przerwał kręcąc głową Bałbasewicz, Koniuszyński! jak się przepolszczył! Koniuszonek Panie! Piotr Koniuszonek, poddany nasz, chcę mówić Wojewody mojego pana poddany, który przed laty 20tą *ni falor*, uciekł ze szkół, dokąd go i wywoziś nie radziłem, a za to, pamiętam co mi Wojewoda powiedział; Koniuszonek Panie! którego ojciec stolarz i bracia żyją jeszcze, który.... —"Podkanclerzy z tego nieskładnego opowiadania marszałka nie mogąc

nic zrozumieć, przerwał je i porządniéj o wszystkiém rozpytywać się zaczął. Częstokroć najmniejsze podejrzenie długo tajoną od razu odkrywa prawdę, Bałbasewicz najmocniéj już był przekonany że jéj doszedł, i że poznał w Szambelanie Piotra Koniuszonka: Podkanclerzy po ścisłém wypytaniu się, i najbardziéj przypomniawszy sobie pomieszanie jego, spieszne wyjście, i podobieństwo nazwiska, wyraźnie w zakończeniu tylko zmienionego, skłonnym był także uwierzyć marszałkowi; a gdy nad tém dumał: —" nié masz czasu do stracenia, ten się odezwał, taki ptaszek widząc się poznanym, długo tu nieposiedzi. JWPan powagą swoją, niech mi wyjedna sposób pojmania jegomości, choćby *cum brachio militari*, a niech go tylko raz porwę w moje ręce... ręczę że dostawię aż na miejsce. Proszę, co to za odwaga tego plebejusza, podejść nawet majestat Króla i zostać Szambelanem! Hm! mruczał daléj, on Szambelanem!..."a ja dotąd marszałkiem, musiał zapewne pomyślić, gdyż zaczerwienił się nagle i postąpiwszy krok naprzód, z heroiczną odwagą zawołał: "Pozwól tylko JWPanie, stanę sam jeżeli tego potrzeba będzie, przed Jego Królewską Mością, przecieżem za Jego przywilejem strażnik Inflantski..—"Uspokój się mości strażniku Inflantski, rzekł Podkanclerzy,

i zostaw tę całą okoliczność mojéj uwadze. Odpocznij raczéj po drodze, ja tymczasem do jutra i prawdy dojdę, i postanowię co mam daléj czynić. —"Ale JW Panie! czyby nie lepiéj było abym ja poznawszy zbiega, jako sługa wojewody....—"Waćpan zapominasz żem ja jego zięciem, i że tu bez mojéj woli nic działać nie powinieneś. Do jutra Panie Marszałku, i ani słowa przed nikim! rozumiész mię Wpan? — Ukłonił się i musiał odejść Balbasewicz, oburzony, że zawsze jego odrzucano plany. Byłby on sam niezawodnie oddał wizytę Panu Szambelanowi, ale ostatnie słowa Podkanclerza i téj mu zabroniły wolności; rezygnował się więc z cierpliwością zapowiedzianego oczekiwać jutra.—Aby jednak darmo czasu nie tracić, odwiedził jakie miał w stolicy znajomości, zaszedł nawet do sądownictw, a gdziekolwiek niby nawiasem o Szambelanie Koniuszyńskim zapytał, wszędzie jednozgodne i jego charakteru i jego biegłości w prawie i jego powszechnéj wziętości słyszał pochwały. Za każdym razem wychodząc pokręcał głową i pomrukiwał: "trudno będzie jak widzę! oprzemy się podobno o Króla! proszę uniżenie! ktoby się spodziewał! Miał bydź podemną kredensarzém, a teraz..... do stu katów! musi bydź znowu; albo nie! zrobię go szafarzem na pamiątkę szambelańskiego klucza; he! he! he! — i w

tych słodkich marzeniach, urodzony strażnik Inflantski, zabrał się do spoczynku po drodze.

Podkanclerzy tymczasem z inszego wcale punktu rzecz tę rozważał. — Znał on od lat kilku Szambelana, i szacował go jako człowieka pełnego rozsądku, honoru i cnoty; wszystko co otaczało tron Stanisława Augusta, tchnęło ludzkością i oświeceniem, które ze stolicy, jakby od ogniska, rozchodziło się powoli po całym kraju; w tych uczuciach Podkanclerzy, postanowił użyć wszelkich sposobów, aby ochronić i oswobodzić człowieka, którego przymioty tak daleko nad urodzenie wyniosły. Niżeli jednak cokolwiek przedsięwziął, pojechał piérwéj do niego, aby i przekonać się o prawdzie domniemań marszałka, i zapobiedz bez zwłoki gwałtownéj rozpaczy, wktóréjby odkrycie to pogrążyć mogło Szambelana.

Siedział oparty na ręku, głęboko zadumany Piotr, (on to bowiem był rzeczywiście) pióro trzymając w drugiéj ręce, gdy wszedł doń Podkanclerzy. Wewnętrzne udręczenie, tak rychło i tak dobitnie wyraziło się na twarzy piérwszego, że Podkanclerzy nie mógł ukryć swego podziwienia, i piérwszy rzut oka bez dalszych pytań, przekonał go o prawdzie domysłów Marszałka, i o potrzebie uspokojenia nieszczęśliwego. Inaczéj sobie wytłómaczył

Piotr przybycie niespodziewanego gościa; wymuszając jednak na sobie spokojność, dręczył się podobny choremu, który się niechce poddawać chorobie, wprzód nim ta gwałtem nie rzuci go o łóżko. Jedno postanowienie uczynił stałe, nie przeżyć swego zhańbienia; zdało mu się że wejście Podkanclerzego było piérwszą onego chwilą, że zięć przychodził rozciągnąć nad nim prawo teścia swego. — "Cóż jest powodem niespodzianych odwiedzin Pana! przychodzisz Pan mię wybadać!—nie myślę taić zwłaszcza przed Panem, którego szczerze szacuję, prawdy, o któréj w téj chwili, cała może dowiaduje się publiczność; tak jest, marszałek mię poznał, jestem poddany Wojewody T...., zbiegłem niegdyś ze szkół, a nie czas opowiadać przez jakie stopnie doszedłem stanu, wktórym teraz żyłem. Mogłem od czasu gdym od Pana wyszedł, do teraźniéjszéj chwili, bydź już ztąd daleko, i pod innym niebem nieznany, dożyć spokojnie, choć w tęsknocie, krótkiego zapewne życia; ale zostawiłbym tu hańbę za sobą; a najbardziéj zawiódłbym zaufanie wielu osób, którzy mi swój los i interessa powierzyli. Potrzebuję zatém jakiegokolwiek czasu, abym w tym względzie zostawił konieczne objaśnienia i rozporządzenia; poczém..... To zaś co dotąd mojem

nazywać mogłem, wiem, dodał z widocznem wzruszeniem rozpaczy, wiem, że choć cnotliwie zapracowane... łzy mu się potokiem rzuciły, i drżąc kończył—wiem że mego rozrządzenia nie wymaga, bo równie jak i ja sam nie jest moją własnością..." tu mu się głos stłumił, i padł prawie omdlały na sofę. — "Uspokój się i posłuchaj mię, rzekł Podkanclerzy; mylisz się nad powodem który mię tu sprowadza; łatwo pojąłem stan gwałtownego cierpienia, w który cię spotkanie się z Bałbasewiczem pogrążyło, spieszyłem więc przynieść ci uspokojenie i pociechę, na jaką tylko przyjaźń moja dla cię zdobyć się może. Znajduję com przewidział i lituję się nad tobą; jakiekolwiek są twe postanowienia, niemam potrzeby ich zgłębiać, gdy powód do nich usunąć przedsiebiorę. Znamy się blisko, od lat kilku, mam więc prawo mniemać, że znasz wartość mojego słowa i mojéj dla siebie przyjaźni; a zatém że los swój powierzysz mi z zaufaniem. — "Ach! z zupełném, odpowiedział Piotr, —"Więc zabraniam ci wszelkich w téj okoliczności kroków, do czasu nim albo ci moich nie ziszczę uręczeń, albo gdybym tego dokazać niemógł, niezostawię cię własnéj twéj woli. Przyrzekasz mi to?—Piotr milczał—milczysz? mówił daléj Podkanclerzy; pamiętaj, że Bóg cię sro-

go zapyta, dla czegoś obrał dobrowolnie rozpacz, gdy ci ofiarowano nadzieję?"—Z rozrzewnieniem i pokorą rzucił się Piotr w ręce swego dobroczyńcy i przyrzekł wszystko czego ten po nim żądał "Wreście, rzekł odchodząc Podkanclerzy, ja tylko i ty, posiadamy twą tajemnicę; Bałbasewicza biorę na siebie.

Pan Strażnik Inflantski całą noc oka niezmrużył, już to układając perorę do Króla, już to sposoby obchodzenia się w drodze z pojmańcém, już to wróżąc dary Wojewody za tak wielką przysługę. Doczekał wreście świtu, i wnet sprowadzony podżyły weteran brzytewnéj kontubernii, przystąpił do odświéżenia czupryny Pana marszałka. Jakby się przeląkł dzisiéjszéj mody Panicz do podobnéjże usposobiony professyi, gdyby mu przyszło miéć do czynienia z szerokim łbem marszałka, na którego wierzchołku tylko kilkadziesiąt rozwiewało się włosów; tak téż wzajemnie Pan marszałek nigdyby się nie odważył powierzyć swéj staréj i pokresowanéj głowy, ręce młodego elegancika, młodszego od dobrego infimisty tamtych czasów. Ale gdy równowieczny prawie z nim professyonat zachylił z powagą rękawa od żupana, usiadł z zaufaniem do operacyi marszałek i litanią poranną odmawiać zaczął.

Z pociechą usłyszał *ora pro nobis* odpowiadane z ust golącego siebie, i najmniéj przeto nieprzerywającego roboty, tak, że nim ukończyli modlitwę, już wolny został Balbasewicz do kontynowania swego dalszego stroju. Nagrodziwszy tynfem i skosztowawszy razem z nabożnym felczerem z podróżnego zapasu, przybrał się Pan Strażnik w mundur swojego województwa, żupan bogatą na szyi ozdobił szpinką i pasem litym się opasał, przy którym na taśmach, ze złota i jedwabiu utkanych, w jaszczur oprawną zawiesił demeszkę. Garderobę tę uroczystą zawsze od przypadku miał z sobą, równie jak przywiléj swój na strażnikowstwo Inflantskie i podobnyż ojca swego na łowiectwo ziemi Nurskiéj, ażeby w każdym przypadku mógł dowieść, że był *bene natus*. Oba te dokumenta małym rogiem wysuwały się mu teraz z zanadry, dla okazania w zdarzeniu; bót żółty i czapka wysoko wyszyta, dozupełniały stroju w którym się z oficyny udał na pokoje Podkanclerza. Wszyscy jeszcze tam spali, bo już i w tamtym czasie, w stolicy, godzina świtania nie była chwilą przebudzenia się; doszedł wszelakoż do sali, po któréj przechadzając się, skrzypaniem butów budził koleją wszystkich. Jak tylko wstał Podkanclerzy i dowiedział się, że Balbasewicz już

nań czeka, wéjść mu do siebie pozwolił. "A! jakżeś mi strojny, mój kochany Strażniku, rzekł z zadziwieniem, czyś niepostanowił jaką ciepłą wdówkę wziąść stąd pod straż swą do Litwy?— "Wolne żarty JW. Pana! Przez należyty respekt senatorskim JWPana pokojom, i rozumiejąc nadto, że wczorajsza nasza sprawka może bydź powodem do stawienia się i skargi, nawet *ad majestatem*, przywdziałem mundur mojego województwa i czekam rozkazów JWPana! —"Czy tylko to? No! bądź spokojny, obejdziemy się bez tak wielkich zachodów. Bo dajmy żeś rzeczywiście poznał Koniuszyńskiego, czyż teść mój tak mało ma poddanych, aby mu wiele zależało na przybytku jednego, i takiego jeszcze, z któregoby jak z poddanego, żadnéj nie miał korzyści?—"Ale JWPanie, zbieg tak ważny! ręczę Panu, że Wojewoda zdarzenia tego małém nie nazwie, że ja będę w odpowiedzialności, jeżeli to lekko puszczę, a Koniuszonek tymczasem uciecze.—"W listach moich do Wojewody dałem świadectwo gorliwości WPana z resztą, sam uważasz okoliczność tę za ważną, więc obrazilibyśmy Wojewodę, gdybyśmy coś bez jego wiadomości i woli uczynili; że zaś Szambelan na miejscu zostanie, za to ja ręczę. WPan zaś, mój kochany Strażniku, nie masz ani chwili do stra-

nia; proces teścia mojego wymaga rychłego WPana powrotu: listy moje oto są, a wczora jeszcze kazałem memu marszałkowi aby przygotował dla WPana zapas na drogę i ranne śniadanie; wszystko już dotąd gotowe, żegnam więc WPana. Znając jego roztropność, nie potrzebuję powtarzać ostrzeżenia, abyś ani komukolwiek z mojego dworu, ani nawet przybywszy do domu, nie rozpowiadał tego co tu zaszło bez wyraźnego dozwolenia Wojewody."—Bałbasewicz nie w ciemie bity, poznał że go chciano jak najrychléj z Warszawy wyprawić, ukłonił się więc nisko i wyszedł nieukontentowany. Wnet miejsce atłasowego zajął sukienny żupan, miejsce kontusza podróżna kurtka, miejsce demeszki furdament na rzemiennych paskach; i posiliwszy się należycie zrazem huzarskiéj pieczeni u kollegi swego, Pan Marszałek wyruszył w podróż.

Lubo Bałbasewicz nie mógł rozgmatwać w swéj głowie powodów postępowania Podkanclerza, nie posądzał go wcale, aby mógł zaniedbywać interesu teścia, a tém bardziéj aby go zdradzał; dla tego też przybywszy do domu, zachował jego przestrogę, i oddawszy listy Wojewodzie, czekał, nikomu nic nie powiadając, co Pan postanowi. Przywołany wkrótce, opowiedział na zapytanie Wojewody,

wszystkie szczegóły swego zdarzenia w Warszawie, nie opuszczając, że był gotów wszelkiemi sposobami dochodzić własności pańskiéj. "Dziękuję ci, odpowiedział Wojewoda, za twą gorliwość, a jeszcze bardziéj żeś posłuchał we wszystkiém woli mojego zięcia. Nikomu tu nic o tém nie powiadaj, a ja wysyłam jutro do Warszawy z mojém postanowieniem, które spełnić się musi koniecznie. —"Widzi Pan, rzekł Balbasewicz, że moje proroctwo, jeżeli je pan przypomni, gdy Piotra do szkół wywożono, ziściło się.—"Gdybym z tak poczciwym, jak ty mój strażniku sługą, nie chciał żyć aż do śmierci, odpowiedział Wojewoda, i mojeby teraz ziścić się mogło, jeżeli je także przypomnisz.

"Szczególna rzecz! mruczał sobie wychodząc Balbasewicz, każą mnie milczeć, jak gdybym miał co rozgłaszać? — nie w tém rzecz, żem poznał Koniuszonka, ale to sęk, co się z nim stanie, i co to za postanowienie Wojewody która musi się spełnić koniecznie?"

Przez cały wieczór Wojewoda zamknięty był w gabinecie z Xiędzem Janem, nakoniec przywołano Marszałka, i oddano mu pakiet z rozkazem wysłania przed świtem gońca do Warszawy. Tu rzecz! pomyślił sobie Balbasewicz, ale jakże jéj dostać? — Xiądz Jan wié wszystko; ale Xiądz Jan wielomowny tylko w pacierzach. Pan Marszałek był z natury ciekawy, a tro-

ohę i obrażony, że na dworze którego był głową, w okoliczności któréj sam był sprawcą, nie wiedział przecie jaki nastąpi koniec.

We dni powszednie Xiądz Jan bardzo ranną mszę miéwał w kaplicy, długim szpalerem lip starożytnych od zamku oddzielonéj; nie opuszczał jéj nigdy Marszałek: wracali potém razem, Kapelan na kawę, Marszałek na anyżówkę, idąc powoli i rozmawiając, często nie zgadzali się w zdaniach, ale zwykle Xiądz Jan kończył sprzeczkę, lub ustępując Marszałkowi, lub mówiąc tylko: mój mości Strażniku, szanuję opinię WPana, wszakże zostanę przy własnéj. Po wysłaniu gońca nie uchybił Marszałek swemu zwyczajowi, poszedł na mszę i wracał znowu z Xiędzem Janem. "No *Reverendissime*! już godzin kilka jakem wysłał do Warszawy. — Xiądz Jan uchylił głowy, jakby miał powiedzieć: dobrześ uczynił. Zarwę go z nienacka, pomyślał Balbasewicz; "Zapewneż Wojewoda kazał go pojmać? — "Kogo? — "Koniuszonka któregom poznał! Xiądz Jan milczał, pokręcił tylko głową, jakby mówiąc, nie. A bodajbyś zupełnie oniemiał! ledwo nie powiedział zniecierpliwiony Marszałek. „Ależ *Reverendissime*, o téj całéj awanturze nikt prócz nas trzech we dworze nie wié i wiedzieć nie będzie, bo Jegomość mię znasz, wiem ja cnotę nad cnotami... —"Jeszcze jedna jest cnota arcy-pożyteczna, mój mości

Strażniku, przemówił przecie Xiądz Jan;—"A to jaka *Reverendissime*?— "Wstrzemięźliwość w ciekawości, mój Mości Strażniku. Pokręcił wąsa Bałbasewicz, poznał sens moralny téj odpowiedzi Xiędza Jana, i już ani słówka więcéj na ten raz z sobą nie przemówili. "Albo Wojewoda zaniechał zupełnie téj sprawy, albo Podkanclerzy zaprzeczył memu odkryciu, myślał niekiedy Bałbasewicz, nie widząc rozwiązania; lecz wkrótce, postrzegł jednego wieczora, że Wojewoda odebrawszy listy od zięcia, zawołał do siebie starego stolarza. — Przywlokł się staruszek o kiju, i więcéj niż pół godziny rozmawiając sam na sam z Panem, wyszedł ocierając z łez oczy. Przywołano potém syna jego Andrzeja kredensarza, gdyż P. Bałbasewicz w całym rodzie Koniuszonków, upatrując szczególniejsze do kredensarstwa zdolności, po wyprawieniu Piotra do szkół, Andrzeja brata jego, do téj funkcyi przeznaczył. Opanował go natychmiast po wyjściu od pana Marszałek: mimo zakazu Wojewody, nie mógł oprzeć się Andrzej swemu bezpośredniemu naczelnikowi, któremu podlegać codziennie nawykł odkrył mu wolę Wojewody, a Marszałek opowiedziawszy wzajemnie całe swe zdarzenie w Warszawie, dodał cokolwiek swoich instrukcyi do rozporządzeń Wojewody.

Nazajutrz Wojewoda wstał raniéj nad zwyczaj, zdawał się bydź niespokojnym i oczekującym, wychodził na ganek, patrzał na drogę, posyłał do miasteczka obaczyć czy kto nie zajechał do któréj austeryi; lecz wszystko naprożno — Nakoniec około południa ujrzano czterokonny pojazd w lipowym szpalerze, a ponieważ od rana już wszyscy dworscy i goście cichą nowinkę o przybyciu Piotra dostali, wszyscy więc to w otwartych oknach, to na gankach pomieszczali się. Pan Balbasewicz stanął we drzwiach officyny; sami tylko Wojewoda, Xiądz Jan i Pan Władysław, przez zamknięte szyby zważali na wszystko. Pojazd zbliżywszy się do bramy, stanął. Wysiadł zeń mężczyzna, (czytelnik zgadywa kto taki) przystojnie ubrany, odpasał i oddał pałasz swemu służącemu, a sam szedł do pałacu. W tém naprzeciwko niego zbliża się staruszek o kiju; zastanowił się Piotr i wpatrując się w niego: "O Boże! to mój Ojciec! zawołał, i już był u nóg jego. —„Piotrze! synu mój! synu mój! powtarzał rozrzewniony staruszek; —"Ojcze, daruj, daruj żem cię opuścił! o jakże dziękuję Bogu że cię jeszcze oglądam! cożkolwiek mię czeka, kończył całując z uniesieniem wynędzniałe ręce starca, będę żył i będę szczęśliwy, byłem ciebie Ojcze w starości mógł opatrywać i żywić!"—"Boże bło-

gosław jemu, wołał starzec uradowany!!! Boże błogosław go! powtarzał do łez wzruszony stary Wojewoda, żegnając Piotra przez okno. "O jakże szczęśliwy ten ojciec! jakżem ja szczęśliwy, że taką cnotę nagrodzić mogę! Patrz! patrz Xięże Janie! O jakże szczęśliwy ten starzec!—"Mój ojcze! przerwał Władysław przyciskając do ust rękę Wojewody, dla czegoż mu zazdrościsz? czyż także nié masz syna który cię kocha i szanuie? Wojewoda bardziéj jeszcze rozpłakany uściskał Władysława. Tymczasem szła koléj na Andrzeja kredensarza. Podług instrukcii marszałka, miał on z zuchwałą miną zbliżyć się do brata, uścisnąć go i pocałować, a jeżeliby się ten wzbraniał, niegrzecznie z nim się rozmówić, prowadzić do Wojewody, i tam oskarżyć że się brata zaparł. Wypełniłby wszystko co do joty Andrzéj, ale i zuchwałość i rozkazy Balbasewicza wypadły mu z pamięci, skoro ujrzał brata upadającego do nóg ojcowskich; i Andrzéj miał serce..... zbliżył się wprawdzie do Szambelana, bo taka była i Wojewody wola, ale zamiast poufałego przywitania, milcząc wziął go nieśmiało za rękę i ucałował ją ze łzami. "To brat twój Andrzéj, rzekł wspólny ich Ojciec;—"Nie poznałbym go wcale, odpowiedział Piotr, zostawiłem go bardzo małym, pójdź bracie! uściskajmy się i idźmy

do Pana."— Wojewoda odszedł od okna, podpisał sam i Władysławowi podpisać rozkazał przygotowany papiér, i z nim w ręku wyszedł do sali na ich spotkanie. "Pietrze! i postrzegając się wnet, Szambelanie! rzekł, niech ci Bóg nagrodzi radość którą mi dziś sprawiłeś! Niech ci Bóg nagrodzi szczęście ojca twojego, twoję cnotę i synowskie przywiązanie. Nie zawstydziłeś się ojcowskiéj siermięgi, ja cię téż rownym sobie uznać się niepowstydzę.—"Panie! przybyłem na twe rozkazy, oddać los mój na twą wspaniałość!!!—"Dość tego, o to masz, oddając papiér, przerwał Wojewoda, com dla ciebie, znając cię tylko z listów zięcia mego, przygotował, a co w chwili gdyś ojca twego poznał i uczcił, dozupełniłem. Nikt ci tego, ja sam nawet odebrać już nie zdołam, (był to zapis przyznający wolność całéj familii Koniuszyńskich, oddawna wprawdzie, jak wyrażał, w dobrach Wojewody zamieszkałéj, ale nigdy jakby poddanéj) bądź tylko moim i po méj śmierci syna mego przyjacielem na zawsze.—"Władysław przyjął mile kolegę szkolnego; Xiądz Jan oblał go łzami i błogosławieństwy; a Pan Strażnik Inflantski niewiedząc sam co miał myśleć i mówić, pokręcał tylko, jak zawsze gdy był nieco zaambarasowany, wąsa. Lecz gdy do zebranéj przed obiadem kompanii Wojewoda rzekł;

„Prezentuję państwu Pana Koniuszyńskiego Szambelana Jego Królewskiéj Mości, przyjaciela domowego mojego zięcia, i mego; a co najgorsza, gdy go obok siebie u obiadu posadził; Bałbasewicz chciał natychmiast złożyć tak długo piastowaną laskę, z którą chodząc około stołu uważać porządku był powinien: i ledwo go od tego Xiądz Jan odwieść potrafił.

Nazajutrz rano udał się Xiądz Jan w towarzystwie zwyczajném Marszałka na mszę; nie chcąc przed nią rozrywać myśli kapłana, gotował Marszałek na powrót z nim dysputę uporczywą o wczorajszym postępku Wojewody, szczególniéj względem posadzenia u stołu Piotra; lecz zbliżając się postrzegają klęczącą na cmentarzu osobę, był to Koniuszyński modlący się na grobie matki swojéj. To już nawet i Marszałka zmiękczyło. Idąc nazad do pałacu, zamiast sprzeczki, słuchali oba z Xiędzem Janem opowiadania Koniuszyńskiego o jego losie po ucieczce ze szkół którego tu niepowtarzam, bo może nie byłoby tak prawdziwe, jak cała treść téj powiastki. — Cnotliwy Koniuszyński wrócił do Warszawy, nieświadomej jego urodzenia, upewniwszy byt pomyślny starego ojca i braci, którzy niechcieli opuszczać swoich stron rodzinnych.

RUSAŁKI*

Fantazyja

PRZEZ

JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

Trzeba, chcąc czucie rozszerzyć,
Tworzyć bóstwa, i w nie wierzyć!

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

I. PRZESILENIE.

Święć się, święć się wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody!

* Osobą, opowiadającą w niniejszym poemacie jest *Cistaw Zorza*. Autor ma nam jeszcze dać poznać inne sceny i obrazy jego życia, zapewne nie mniéj zajmujące. Co do *Rusałek*, przydałby tu należało miejscową wiadomość o własnościach gaju tym boginiom poświęconego, o przymiotach i naturze ich samych, nie mniéj o zaklęciach czynionych w jaskini *Żalów ucho*. Autor, dziś drukowaniu *Rusałek* nieobecny, zaspokoi zapewne naszą ciekawość przy innem ich wydaniu. *P. Wyd.*

Świat omamień wcześnie ginie!
Już wyśmiéwam czary, dziwy;
Bo nie jestem prosty, tkliwy,
Bo nie jestem przy Zorynie.

Przy Zorynie inny byłem,
Byłem prosty, byłem tkliwy;
Wszędziem widział czary, dziwy,
Ach! kochałem i wierzyłem!

Bo téż czysta czarownica,
Pełne zaklęć miała usta,
Jak Rusałka żywa, pusta,
Jakie oczy, jakie lica!

Jakie oczy! jakie lica!
Oczy jasne, czarne, duże,
To nie lica, ale róże,
Czysta, czysta czarownica.

"Bój się!—nieraz mi mówiła—
Gdy był xiężyc na młodziku,
Mnie kąpała matka w mléku,
Nauczała czarów siła.

"Błyśnie siedém gwiazd na niebie,
W Dnieprze błysną trzy miesiące,
Zalśnią gwiazdy spadające,
I co zechcę zrobię z ciebie.

"Dość niech mrugnę, ręką skinę,
Będziesz ptaszkiem, rybką w rzece."
Mnie się zdało że już lecę,
Że już lecę, że już płynę.

I całując rączki obie,
Zaklinałem, "bój się Boga!
Daj mi pokój moja droga!"—
—"Nie, co zechcę z tobą zrobię."

Uwikłany sam w powaby
Tajemniczych słów dziewczyny,
Długie chwile i godziny,
Przemyślałem płochy, słaby.

Nuż w latawca mię przemieni!
I jak orzeł, albo sokół,
Będę musiał krążyć w okół,
Po niezmiernéj gdzieś przestrzeni.

Jeszczeż lecieć, lecz gdy zdradnie?
Albo las na wierzchu góry,
Albo nisko będą chmury,
Albo skrzydło mi opadnie?

Lub też kto wie co wietrznica
Nie wymyśli: każe może
Koralowe zwiędzić łoże,
Srébrny promyk znieść xiężyca! —

I zadrżałem poniewoli.
Lecz jest w życiu ludzkiém chwila,
Kiedy słabość się przesila,
Za natchnieniem męzkiéj woli.

Wychowańcaż to pustyni,
Jedno dziéwczę upokorzy? —
Dziéj się wolo! zrobię gorzé
Ni sumienie mię obwini.

Darmoż nocą na rumaku,
Zbiegłem pysznéj Kaffy gruzy?
Step tumanny Kataj-Uzy,
Aż do wietrznych pól Budziaku?

I śród wiatrów z burzą zmowy,
Duszą, sercem Ukrainiec,
W czajcem przemknął Nienaszyniec,
Najstraszniejszy próg dnieprowy?

Darmoż trudne próby moje
Lud niżowy uznał wszystek?
Darmoż uznał, — bym jak listek,
Drżał na płonne niepokoje?

Tuż pod bokiem gaj Rusałek,
I jaskinia *Żalów ucho*! *
Cóż to znaczy, że na sucho
Stąd nie uszedł żaden śmiałek?

* Tak się nazywa istotnie.

Bo też żaden od motyléj,
Od miłosnéj, płochéj zmiany,
Nie ucierpiał, wciąż ścigany,
I boleśniéj i niemiléj.

Nie; usłucham serca rady,
Pójdę z dumką i odwagą,
Wyspowiadam prawdę nagą,
I nie zważam na zawady.

II. SKARGA.

Szedłem tedy; a po drodze,
Choć kraj piękny i dzień miły
Barwą, blaskiem wzrok nęciły,
Smutek sercu ciężył srodze.

Bo com w życiu słyszał kiedy,
O Rusalkach różnéj treści,
Czy to w dumce, czy z powieści,
Wszystko w myśli tkwiło wtedy.

Gdy tak tło się marzeń mieni,
Stają, nikną w łzawém oku
Widma trwogi, to uroku,
Pasma światła, pasma cieni;

I com tylko miał, co wiedział;
O Zoryny sercu, głowie,
W złotopłynnéj, tkliwéj mowie,
Wszystkom, wszystkom wypowiedział.

Wstałem... I jak po pacierzu,
Gdy się brzemię grzéchów zmniejszy,
Człek się czuje żywszy, lżejszy,
Z całym światem jest w przymierzu:

Nie czekałem w groty cieniu;
Zaraz daléj, dwa, trzy skoki,
Stromą skałę, jar głęboki,
Przesadziłem w oka mgnieniu.

I wesoły, żywy, pusty,
Jakby gnany, lekko, żwawo,
Biegłem, biegłem, w lewo, w prawo,
Przez zarośla, tarny, chrusty.

Rozigrane myśli w głowie,
Pasmo złotych mar wysnuły;
Obraz jakiś luby, czuły,
Tęczą zbiegał przez pustkowie.

Zieleniało już podwórko,
Ciepły wietrzyk z boku zadął;
Zdolu w górę, z góry na dół,
Spadam, wzlatam, jakby piórko.

Na podwórku, pod jabłonią,
Grono dziewic w jasnéj bieli,
—Strojnych, bo to przy niedzieli—
Płochą bawi się pogonią.

Słońce w blasku przez topole
Promienistą skłania głowę,
Trzęsie złoto na królowę,
Na najpiérwszą w dziewic kole..

"To on, to on!"—wrzasły tłumnie,
I pierzchliwa jak ptaszyna,
Czarnobréwa ma Zoryna,
Jak ptaszyna leci ku mnie.

Chwyta rękę..jak za wróżką,
W kornéj muszę iść postawie,
Każe usiąść na murawie,
Krąg zakréśla małą nóżką.

"Tym cię, rzekła, kręgiem grodzę.
Jak źrenicy strzeżesz w oku,
Ani waż się stąpić kroku,
Ni półkroku po téj drodze!

"Nie pomogą prośby, płacze,
Prośby, płacze nie pomogą;
Wiész co umiém: będę srogą;
No obaczysz!"—No obaczę..

III. PRZEPIÓRECZKA. *

I pobiegły płoche, rade,
Ja patrzyłem, acz od ziemi,
A patrzyłem wciąż za niemi,
A knowałem wielką zdradę.—

Coraz prędzéj, jak błysk fali,
Jak obłoczek biały, cienki,
Wieją jeszcze ich sukienki,
Jeszcze wieją.. znikły w dali.

A więc milczkiem, w dwoje zgięty,
Pędem strzały, ptaka lotem,
Dołem, rowem, po pod płotem,
Trop w trop, śladem za dziewczęty.

* Nazwisko tańca ukraińskiego — wykonywa się w polu zwykłéj w sposobie jaki opisany poniżéj.

Padłem, wstałem raz i drugi,
Gdy szły, szedłem, biegł gdy biegły:
Że też cienia nie postrzegły,
Choć był czarny, choć był długi..

Jaka była wtedy pora,
Jaki kwiat gdzie, jakiéj woni,
Widzę wszystko jak na dłoni,
Wszystko pomnę jakby wczora.

Był na przodzie bór ponury,
Bliżéj rzeka: po nad rzeką
Kwitła łąka wzdłuż, daleko,
W prawo skały, w lewo góry.

Nazad ścieżka między zboża,
Widać wioskę mało - wiele,
I trzy wieże na kościele,
I trzy krzyże u rozdroża.

A na niebie żadnéj chmurki,
Słońce sieje blask wspaniale,
Po dnieprowych wód kryształe,
Między skały i pagórki.

Cień się czerni, wiatr przez błonie
Jako fala się rozléwa,
Raz utonie, znow wypływa,
Znowu płynie, znowu tonie.

Był na łące, już na drzewie,
Po tle wody marszczy kółka,
Zdmuchnął listki, wyssał ziółka,
Leci, pędzi, sam gdzie nie wie.

Wraz dziewczęta się zwróciły,
A ja w strachu, jak z kopyta,
Jeszcze prędzéj między żyta;
I przyległem u mogiły.

I pełzałem niwą żytną,
Rwąc, badając różne kwiatki,
To tymianki, to bławatki,
I jak wonią, i jak kwitną.

Alem nie to miał w pamięci.
Lisiém uchem, orłém okiem,
Wszystkom słuchał, śledził bokiem,
O co chodzi, co się święci.

Jako krążą, brzmią żurawie,
Gdy wracają tu na wiosnę,
Tak wesołe i radosne,
Brzmią i krążą po murawie.

I jak rybka tuż za rybką,
Jak jaskółka za jaskółką,
Dłonie w dłoniach, raźno, w kółko,
W pląsach, skokach, krążą szybko.

A Zoryna w środku kola,
W tę i ową bieży stronę:
Wszędy wyjście zagrodzone,
Wszędy piosnka brzmi wesoła.

"Fit, fit, fit, fit, przepióreczko,
Przepióreczko piękna, hoża!
Nie ucieczesz nam do zboża,
Nie ucieczesz kochaneczko!" *

I wietrznice krążą, nucą,
Taniec, piosnka jedna, druga,
Jak lecąca z dźwiękiem struga,
Nieustannie echa kłucą.

Miałżem siedzieć jak na grzędzie!
Myśl wyborna! napaść na nie!
Napaść znagła, niespodzianie!
Choć wiedziałem co to będzie.

Jak Zoryna się zachmurzy,
I jak z góry na mnie wpadnie:
"A niegrzecznie, a nieładnie!"
Lecz niebałem się téj burzy.

Gdy gotowy w przedsięwzięciu,
Oglądałem się po niwie..
Aż w tem widzę: dziw o dziwie!
Pięć, sześć, siedem, do dziesięciu,

* Dosłówne tłómaczenie pieśni gminnéj.

Za górami, przy zagięciu
Skał do rzeki, między lasem,
Czasem piérzchnie, mignie czasem,
Pięć, sześć, siedem, do dziesięciu.

Już są, już są za sitowiem,
Po za rzeką, po za krzaki,
Co! i skąd! i gdzie! kto taki!
Bij i zabij!—nie opowiem.

IV. CUDOWNOŚĆ.

Tkliwe, tęskne niegdyś dziécię,
Wiekiem piérwéj nim kochałem,
Za miłością i zapałem,
Już goniłem w pieśni świecie.

Marzącemu w cieniach gaju,
Przy wiosennych dni mych blasku,
Sen objawiał na obrazku,
Niewcielone wdzięki raju.

Dźwięk, woń, świéżość, światło, farby,
Choć odbiły się na jawie,
Choć dotknąłem się ich prawie..
Tylko serca są to skarby.

Chciéć chwilowe kreślić cuda,
W długich, zimnych dziś wyrazach,
W tych pół-dźwiękach, pół-obrazach?
Jakże biédna to uluda!

* * *

Pięć, sześć bogiń tam zdaleka,
Do dziesięciu znów do koła,
Bo któż zimno zliczyć zdola!
Gdy wre serce, drży powieka?

To Rusałki nad niziną!
Bujają się w chmurce chyżéj,
Ku mnie, ku mnie, coraz bliżéj,
Niby lecą, niby płyną.

W pełném świetle słońce płonie;
Lecz przed nowym, żywszym blaskiem,
Blask słoneczny mdłym obrzaskiem,
Cieniem rozlał się na błonie.

Wnet się czczość rozjaśnia próżna,
Na cudownych świateł strugi;
Jak széroki, jak świat długi,
Wskróś jak kryształ przejrzéć można.

Lecz zamknięty w mym widoku,
Co się zewnątrz niego działo,
Zdala, blisko, dbałem mało,
Duszą, sercem, cały w oku.

Lśni się łódka, czy kolébka,
Niby obłęk pół-obręczy
Siedmiofarbnéj, jasnéj tęczy,
I koluje lekka, szybka.

Ku niéj z niebios się uściela
Maszt czy łańcuch, jasny, długi,
I jak w rosie srébrne smugi
Różnobarwym ogniem strzela.

Grono bogiń płynie w łodzi.
I powiewny, obłok cienki,
Z rubinowych iskr jutrzenki,
To zagrodzi, to rozgrodzi.

Rajem się doliny kwiecą,
One toną w woni świéżéj,
I to wyżéj, to znów niżéj,
Po błękitach jasnych lecą.

I odbite, na polocie,
Po dnieprowych wód rozlewie,
To potroją się w powiewie,
To rozsypią gwiazdek krocie.

Ku Rusałkom, w błogiéj chwili,
Chmurą miecą się po łące
Listki świéżych róż kwitnące,
I swywolnych rój motyli.

Lica... z bieli i czerwieni,
Jak na wiosnę kwiat na gruszy;
Lub gdy wzgórza śnieg poprószy,
A świt ranny zarumieni.

Uśmiéch!.. usta!.. lecz zasłona
Z rubinowych iskr jutrzenki,
Skrywa, tłumi boskie wdzięki,
I owiewa białe łona.

Lśnią oczyma jak zwierciadłem,
Lecą, lecą.. jedna z drużek,
W górę wzniosła swój paluszek,
Zrozumiałem i upadłem.

Ledwie z oczu znikły czary,
Zaraz głośne serca bicie,
Wyrzucało na głos, skrycie:
Ja to, ja to godzien kary.

Nuż w nieczułość się uzbroją,
Wysłuchają skargę skorą,
I Zorynę mi zabiorą,
I Zorynę taką moją!

Nie; Rusalki krzywd nie czynią.
I Zoryna dla mnie wszędzie,
Tu, czy w niebie, zawsze będzie,
I kochanką, i boginią.

Lube, smutne naprzemiany
Mknęły myśli szybkim lotem,
W tém się ozwał—zatrząsł grzmotem,
Rozgłos silny, niespodziany.

Chór słowików stotysięczny,
Jakby zlany w zgodne tony,
W hymnie rozległ się zmącony,
Harmonijny, tkliwy, dźwięczny.

Prędko wstałem, patrzę śmiało—
Nowy obraz na dolinie,
Grono bogiń przy Zorynie,
Wietrzny taniec zawiązało.

Dłonie w dłoniach, chyżo, społem,
Jak motyle w letnim ranku,
Po nad kwiatkiem bez ustanku,
Krążą, krążą nad nią kołem.

A Zoryna w środku koła,
W tę i owę bieży stronę,
Wszędy wyjście zagrodzone,
Wszędy piosnka brzmi wesoła.

"Fit, fit, fit, fit, przepióreczko!
Przepióreczko piękna, hoża!
Nie ucieczesz nam do zboża,
Nie ucieczesz kochaneczko!"

Wszędy piosnka brzmi wesoła.
Darmo drżąca, darmo blada,
Mruży oczy, rączki składa,
Darmo prosi, darmo woła!

Melodyjny, dźwięczny, tkliwy,
Śpiew się wzmaga na wołania:
Lekki orszak się przegania,
I kołuje z niw na niwy.

I znów przy niéj.. ach! dosiebie
Porywają mi Zorynę!...
Łza ocali; wołam, ginę,
Lecz nie płynie łza w potrzebie.

Biegnę, padam na kolana,
Odwołuję skargę święcie,
Nowe czynić chcę zaklęcie,
Mowa plącze się związana.

Sercem zimna miota trwoga,
Jąkam na wiatr, nieprzytomnie:
Tu Zoryno! do mnie, do mnie,
O! pójdź do mnie, moja droga!

Łza błysnęła, scigam okiem,
Lecz lecące liścia, kwiaty,
I motylów rój skrzydlaty,
Zasłoniły ją obłokiem.

Nikła, znikła. Klasłem w dłonie,
I upadłem jak bez życia..
Aż uczułem serca bicia..
Mej Zoryny! przy mém łonie!

I w ocknieniu słodkiém, bliskiém,
Do mych piersi drżącą tulę,
Do mych piersi mocno, czule;
Uścisk płaci mi uściskiem.

I motyle już wzleciały,
I wiatr listki róż rozdmuchnął,
Chór słowików głuchnął, głuchnął,
I hymn skonał oniemiały.

I ocean dnia nie zwykły,
Blado, zółto, jak w zaćmieniu,
Gasił promień po promieniu,
Aż zamierzchły i ponikły.

Ale światło szczęścia wieszcze,
Od Zoryny biło oczu;
W czarnoxięskiéj łzy przezroczu,
Cud miłości jaśniał jeszcze!

V. EPILOG.

DO PRZYJACIÓŁ.

Święć się, święć się wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody!

Święć się chwilo! gdy wcielona
Fantastycznych krain córa,
Czarodziejka lekko-pióra,
Sama zbiegła w me ramiona.

I igrała... tkliwa, rada,
Jak dziewica rozkochana,
Kiedy prawdę słów młodziana,
Z bijącego serca zbada.

W jak burzliwym, pełnym dźwięku,
Wtedy świat brzmiał Idealu!
I płomiennym tchem zapału,
Wdzięk rozwijał się po wdzięku!

I jak tęskném, tajemniczém,
Promieniło czuciem oko,
Jak wzbijało się wysoko,
Za nieziemskiém gdzieś obliczem!

Miłość nawet, stróż ten święty,
Jakby anioł mój skrzydlaty,
Wskazywała wyższe światy,
Wyższe męzkich dusz ponęty.

Prawda, ludzkość, serce tknęły,
I zapaśnik, w puste szranki,
Z tkliwych objęć méj kochanki,
Za świetnemi biegłem dzieły.

I promieniąc łzą źrenice,
Przysięgałem dumną duszą:
Że mię pojmą, pojąć muszą,
Ludzie, światła spółdziedzice!

A Zoryny smutnie oczy
Nad mém dumném tkwiły czołem;
Uściśniony, uścisnąłem,
I słyszałem głos proroczy:

"Idziesz na świat, Bóg wié poco!
Czego pragniesz, nie pozyskasz,
Tę utracisz, co dziś ściskasz,
Smutki młodość zakłopocą."

I jak zorza lśni na wodzie,
Jak maluje świt niebiosa,
Łza czyściejsza niźli rosa,
Zajaśniała na jagodzie.

Lecz zaciekły, niewstrzymany,
Pożegnałem brzeg dnieprowy,
I porohy, i ostrowy,
Pieśni moich kraj kochany!

Ach!.. burzliwy i namiętny,
Przed kochanki przepowiednią!....
Gdybym dziś, tak stanął przed nią,
Zimny, smutny, obojętny..

Zawołałaby boleśnie,
Odwracając wzrok anioła,
Od zwiędłego w smutkach czoła,
Tak ponuro, tak zawcześnie!

"Gdzież są świetne twoje mary?
Cele twoje? Tegoż wieńca
Łzy pragnęły zapaleńca,
Łzy, płomienie, i ofiary?"

Bo zdradziecko, cud po cudzie,
W pół wędrówki mię odbiegły!
I świat piękny, świat rozległy,
W sennéj rozwiał się ułudzie.

W proch budowa padła śmiała,
O miłości serce nie śni,
A Zoryny, czarów, pieśni,
Pamięć tylko mi została.

Pamięć, jak przeszłości echo,
Na pustyni dziś do koła,
Woła na mnie... darmo woła!
Żegnaj, żegnaj już pociecho!

Ach, ach! cóż to jest młodzieniec?
Istność senna, wietrzna, płocha,
Jutro rzuci, co dziś kocha,
Dzikich marzeń potępieniec.

Snuje sieć swą dumny, śmiały;
Wiatry wioną i rozdmuchną;
Snuje znowu sieć cieniuchną,
By ją znowu wiatry zwiały.

Rzeczywistość precz odpycha,
Dla urojeń zrywa związki,
I jak listek od gałązki,
Leci, buja i usycha.

Oszukuje brzmiąca sława!
Już, już bliskie nikną cele...
Otóż, drodzy przyjaciele,
Dzieje wasze i Cisława.

Jednak cały szczęścia wątek,
Składa jakaś cudów chwilka,
Jakiś obraz, uczuć kilka,
Kilka z młodszych lat pamiątek!

Śpiewka na dwa Głosy

Muzyka

Maryi Szymanowskiey.

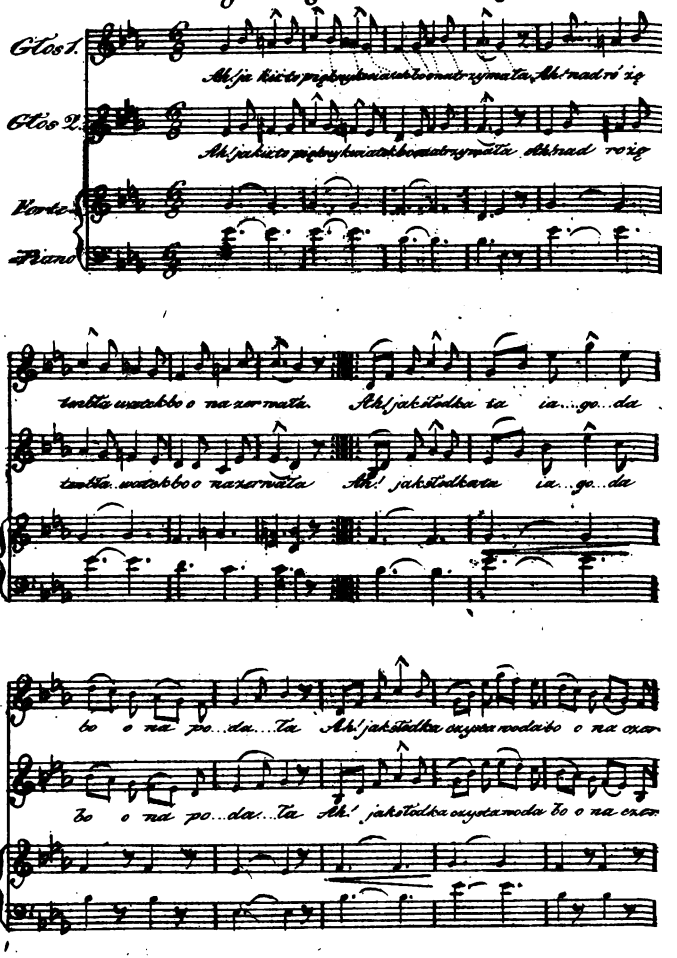

Na méj łące,
Krów tysiące,
Trawa w pas;
Moja niwa
Zbożem pływa,
Chmiel jak las.

Jest i w domu
Dojrzeć komu
Pszczół i drzew.
U méj krosny,
Córa wiosny,
Dziewa dziew.

Śliczna Laszka!
Wziąłem ptaszka
Z lackich kniéj.
Pójdź, pójdź w klatkę,
Żegnaj matkę,
Łez nie léj!

Żegnaj z ojcem,
Za mołojcem
Dalej w szlak!
Znaj Litwina
Poganina,
U nas tak!

Alex. Chodźko.

WESELE.

BALLADA. *

Na zamku kasztelana,
Brzmi muzyka dobrana,
Hałas głuszy kapelę;
Puhar krąży w około,
Wszyscy bawią wesoło,
Prócz téj, czyje wesele.

I nie dziw; Panna młoda,
Jak róża, jak jagoda.
Jak chwast w zimie Pan młody.
Niski, łysy, pękaty,
Lecz starosta, bogaty,
Ojciec kazał—więc gody.

* Z dawnych polskich czasów.

Idzie taniec; na przedzie
Pan starosta rej wiedzie,
Za nim szlachta się wali.
W tem „gość!" krzyknął odźwierny,
I towarzysz pancerny
Zbrojno wkroczył do sali.

Kasztelan gdy go zoczył,
Zaraz ku drzwiom poskoczył,
Pełen gniewu i trwogi:
"Mówiłem już *Acanu*,
Że ludziom jego stanu,
Za wysokie me progi."

— "Nie tak zbyt, jak się roi,
Gdym je mógł przejść we zbroi.
Drwiąc mu Rycerz odpowié,
Każdy z nas na zagrodzie,
Równy jest Wojewodzie,
A cóż Kasztelanowi?—"

Kasztelan w wściekłym gniewie,
Co ma począć sam nie wie,
Na nic już nie pamięta.
"Hola! szlachta panowie!
Kto się bratem mym zowie,
Za drzwi tego natręta!"

Wszyscy taniec rzucili,
Wszyscy szabel dobyli,
Słysząc gniewny głos Pana.
"Co ty? kto ty? zuchwały!
Gdy chcesz unieść łeb cały,
Precz z domu Kasztelana!"

Młodzian się nie ustrasza,
Dobył wzajem pałasza,
I wstrząsając nim dumnie:
"Przez Bóg żywy! * téj chwili
Po swój łeb się nachyli,
Kto krok postąpi ku mnie.

"Ale nie chcę uczt krwawić,
Nie długo mam tu bawić,
Chciałbym tylko, Panowie!
Pannie młodéj winszować,
Taniec z nią przetańcować,
I wypić za jéj zdrowie.

"Na tożem w krwawych bojach,
W ciągłych trudach i znojach,
Kraj piersiami zasłaniał;
By mię lada Kasztelan,
Waszém wsparciem ośmielan,
Jak psa z domu wyganiał?—"

* Dawny polski wykrzyknik.

—"Dobrze mówi, zuch! brawo!
Zostań z nami, masz prawo!
Do stu djabłów magnaci!
Kto chce doznać jak nasze
Wyostrzone pałasze,
Niech łeb wzniesie nad braci.

"Brawo! brawo! pójdź z nami,
Zaprowadzim cię sami,
Winszuj! — jeśli jest czego.
Wypijemy jéj zdrowie,
Potém, bracia Panowie,
Daléj *nieskończonego*!" *

I wnet krzycząc zuchwale,
Wiodą hurmem przez salę,
Do Kasztelanki prosto.
Zbladły drżące matrony,
Sam Kasztelan strwożony,
Skrył się na bok z Starostą.

Kasztelanka struchlała,
Gdy rycerza ujrzała,
Zapłonęła i zbladła.
Chciała witać, lecz siły
Nagle ją opuściły,
Na ręce jego padła.

* *Nieskończonym* zwał się taniec, w którym mężczyzni lub damy zostawszy z kolei na środku, pary sobie dobiérali.

"Wody, wódki, lawendy!"
Krzyk się rozległ wnet wszędy,
Lecz się pomoc spóźniła.
Rycerz, gdy nikt nie słucha,
Szepnął jéj coś do ucha,
Kasztelanka ożyła.

"Teraz, bracia Panowie,
Szczérych kochanków zdrowie!"
—„Vivant! pijmy koleją!—"
„Kto ich dzieli dla złota,
Niech mu niém za żywota,
Czarci gardło zaleją!"

—„Brawo powiedział, brawo!
Każdy kochać ma prawo.
Wiwat śmiałość żołnierska!
Serce sercem się płaci,
Nikt nie wyższy nad braci.
Wiwat równość braterska!—"

"Héj muzyko, polskiego!
Daléj nieskończonego!—"
Idzie taniec po sali;
Młody Rycerz na przedzie
Z Kasztelanką rej wiedzie,
Za nim szlachta się wali.

Stanął — koło młodzieńca
Tancerka się okręca,
Dłoń w dłoni, oko w oku.
Wszyscy się okręcali,
Zamięszanie na sali,
Nic nie widać w natłoku.

Znowu taniec spokojny,
Lecz gdzież tancerz ów zbrojny?
Próżno okiem go śledzą.
To figura nie zwykła!
Piérwsza para gdzieś znikła,
Lecz gdzie i jak, nie wiedzą.

W tém podwórzec zamkowy
Zabrzmiał brzękiem podkowy.
"Pancerny porwał młodą!"
—"Héj do koni, do broni,
Kto ich piérwszy dogoni,
Co chce weźmie nagrodą!"

Rzekł Kasztelan, i prosto
Z zadyszanym Starostą,
Zbiegł na dwór — już na koniu.
"Niech mych skarbów nie szczędzi,
Kto ich piérwszy dopędzi!—"
I puścił się po błoniu.

" Gdzietam! próżna mozoła!
Ktoś ze szlachty zawoła,
Muszą lecieć jak z procy.
Wreście trzeba warjata,
Za złoto gubić brata,
Lub kark łamać po nocy. "

— " Dobrze mówisz Wojciechu!
Zawołali śród śmiechu,
Krzywdą się nie zbogacim.
Przebawmy tu noc całą,
Wypijmy co zostało,
A tak nic w tém nie stracim. "

Jak rzekli, tak zrobili.
A gdy wszystko wypili,
Do domu pojechali.
Starostę koń gdzieś zrzucił,
Kasztelan sam powrócił,
I już nie wiém co daléj.

An. Edw. Od.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

O ZAMKU WILEŃSKIM.

Długo przed założeniem Wilna, miejsce na którém dzis stoi, słynęło w Litwie świątynią Perkuna * a mianowicie poświęconém zgliszczem, które na żądanie ojca swego Swentoroga, Xże Germont albo Gierejmund w 1285 r. założył, i na którém odtąd zwłoki Xiążąt podług zwykłych obrządków uroczyście palono. Dopiéro około roku 1321. W. Xią-

* Długość jéj była 150 łokci, szerokość 100, wysokość zaś tylko 15. Nie było nad nią dachu i tylko jeden wchód od strony rzéki, przed którym stał palac Krywe-krywejty.

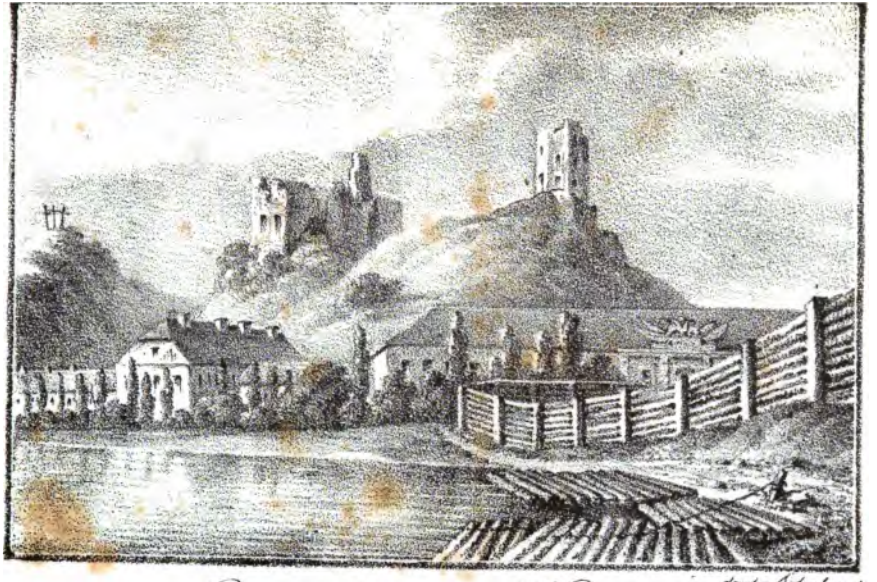

druk: Schaffner

Ruiny Zamku Wileńskiego.

że Gedymin w Trokach naówczas mieszkający, zapędziwszy się w te strony za turem, dognał go i zabił na górze, dziś zamkową zwanéj. A gdy spracowany łowami spoczywał w rozbitym u stóp jéj namiocie, śniło mu się iż widział na niéj żelaznego wilka, a w nim słyszał wyjących stu innych. Sen ten, podług wykładu ówczesnego Krywe-krywejty, Lezdejki, miał oznaczać iż na tém miejscu powstanie mocny zamek i głośne na cały świat miasto. Uwierzył mu Gedymin i zaraz na téjże górze zamek murowany, którego szczątki na wizerunku widzimy, u stóp zaś jéj zamek dolny, drewniany, oraz miasto założył. Nie omyliły przepowiednie Lezdejki. Wilno stawszy się w krótce stolicą Litwy, stało się najpiękniéjszém, na bardzo szeroką okolicę miastem; mężna zaś pokilkakroć obrona jego zamków, do najświetniejszych wspomnień litewskich należy.

Piérwszy wnet po ich założeniu, obległ je W. Mistrz Krzyżaków Pruskich, Werner v. Orselen wraz z Królami: Ludwikiem Węgierskim i Janem Czeskim, którzy w licznym poczcie przedniejszych Xiążąt, przyszli, podług ówczesnego wyrażenia, polować na pogany w Litwie. Nie udały się jednak łowy. Oprócz spalenia przedmieść Wileńskich żadnéj nie odniosłszy

korzyści, przyciśnieni gledem, z ogromną stratą cofnąć się musieli.

Nie zbyt długo potem za Mistrzowstwa Winrycha v: Kniprode w Prusach, a za panowania Olgerda w Litwie, zaczęła się między nimi zaciętsza niż przedtem, najsławniejsza w dziejach Litewskich, przez wiele lat bez przerwy trwająca wojna. Mnóstwo Krzyżowników z różnych krajów Europy, powiększało codziennie siły Zakonu, który też ze swojéj strony całą potęgę na podbicie Litwy wysilał. Jak jednak mało dokazał, z tegoby można już wnosić, iż przez ciąg całéj téj wojny, pomimo częstych nad Litwą zwycięstw, nigdy jednak pod mury Wilna zbliżyć się nie mógł, czy nie śmiał — bez pomocy i przewodnictwa samych że Xiążąt Litewskich. Piérwszym z nich był Witold. Obrażony na Jagiełłę, iż przed nim rodzonego brata swego Skirgajłę na W. Xięstwo Litewskie przełożył, po dwakroć szukał wsparcia Krzyżaków, i z nimi niszcząc Litwę, Wilno szczególnie zdobyć usiłował. Za piérwszym razem wr. 1387 ze stratą od oblężenia odparty, we trzy lata potém, znowu je z większemi niż dotąd siłami ponowił. Wspiérali go Krzyżacy Inflandscy i Pruscy, pod Mistrzem Konradem Wallenrodem, wspiérali liczne z różnych krajów Europy przybyli Krzyżownicy, między innymi: Henryk Xiąże Lan-

kaster, (poźniéj pod imieniem Henryka IV panujący w Anglii) na czele 1,000 angielskich łuczników, Algard Hrabia v. Hohenstein, sławny w całéj Europie rycerz francuzki Boucicault, i wielu innych Xiążąt i rycerzy niemieckich, którzy walcząc przeciw Litwie, już to łupów, już chwały, już odpustów szukali. Wszyscy ci, złączonemi siłami poraziwszy w przeważnéj bitwie zasłaniającego Wilno W. Xięcia Litewskiego Skirgajłę, miasto i zamki obległi. Bronili ich dwaj bracia Jagiełły, Korygiełło i Narymund, wraz z Mikołajem Moskorowskim, Podkanclerzem Koronnym, który w licznym poczcie Polaków od Jagiełły przysłany, na zamku górnym przywodził; skąd nie ustraszony ni śmiercią obu wspomnionych Xiążąt, ni spaleniem zamku niższego, w którym 14,000 Litwinów zgorzało, tak się mężnie oblegającym opiérał, iż ci po trzymiesięcznem oblężeniu, straciwszy wielu z przedniéjszych rycerzy, z niczém do Prus wrócili.

Aby dać wyobrażenie o duchu owego czasu, przytacza Kotzebue w swojéj historyi pruskiéj: iż podczas tegoż oblężenia, gdy się Polacy z Francuzami spotkali, nie tylko, jak mówi, ich oręże, lecz i języki walczyły. "Walczycie za zdrajcę, mówili jedni, "bronicie pogan, odpowiadali drudzy. Obie strony nakoniec, tak się na siebie zawzięły, iż przez oso-

bną walkę między cztérma wybranymi Polakami i cztérma Francuzami, spór swój rozstrzygnąć postanowiły. — Jakoż skoro oblężenie ustało, ośmiu wybranych zapasników udało się do Pragi, prosząc Króla czeskiego, aby im plac walki oznaczył, i sam był jéj sędzią. Wymówił się od tego zaszczytu i tyle dokazał, iż zaniechawszy krwawego zamiaru, przy wesołéj uczcie, toast wiecznéj zgody między dwoma narodami spełnili.

W roku następnym jeszcze raz Witołd z tąż samą pomocą, lecz i z nielepszym skutkiem, kusił się o Wilno. Uwiadomiony o zbliżaniu się nieprzyjaciela, następca Moskorowskiego, Oleśnicki, miasto spalił; a gdy na jego pogorzeliskach rozłożyli się oblegający, uczynił na nich wycieczkę i do odwrotu przymusił.

Widząc nieskuteczność swych zabiegów Witołd, pojednał się z Jagiełłą, opuścił Krzyżaków, i wnet jako W. Xiąże Litewski, wjechał do tak długo pożądanego Wilna, uprzejmie w niém od Jagiełły i Jadwigi przyjęty.

We dwa lata poźniéj, raz jeszcze lecz już ostatni, zagrozili Wilnu Krzyżacy, pod Mistrzem Konradem Wallenrodem, wspiérając obrażonego Swidrygajłę, brata Jagiełły, który naśladując zgubny przykład Witołda, z obcą pomocą przeciw niemu wojował.

Sławna jest w dziejach Pruskich ta wyprawa do Litwy, z powodu wielkich przygotowań i niezmiernych kosztów; sławniejsza jeszcze z powodu klęski, którą Krzyżacy i Krzyżownicy, w ciągu dwumiesięcznego oblegania Wilna ponieśli, tak, że straciwszy 30,000 ludzi, głodem i chorobami zniszczeni, ledwo cofnąć się zdołali.

GODZINA.

ELEGIJA.

Przed godziną źrenicy nie zdjąwszy z zegarów,
Chciałaś naglić oczyma skazówek pochopy,
I słuchem natężonym, pośród miejskich gwarów
Rozpoznawałaś zdala łoskot mojéj stopy.
Dzień miał jedną godzinę, w któréj, wspomnieć miło,
Że nie u mnie jednego żywiéj serce biło;
Ja w tę godzinę wieczną wpleciony katuszą,
Jak Ixyon w koło niéj krążyłem z mą duszą.
Nim nadeszła, dzień cały ja na nią czekałem,
Gdy minęła, dzień cały o niéj rozmyślałem,

Bawiąc się z mnóstwem drobnych, lecz miłych pamiątek.

Jakie było przyjęcie, rozmowy początek,
Jak się czasem przykremu dało wymknąć słowu,
Po niém niezgoda, po niéj milsza zgoda znowu.
Smuciłem się—ty z oczu powody wyśledzasz;
Przychodziłem z prożbami — ty jedne uprzedasz,
Drugich wymówić nie dasz; na jutro odkładam,
I znowu jutro nie śmiem; czasem gniewny wpadam—
Rozbrajasz mię uśmiéchem; a gdym w gniéwie przebrał,
Gniéwałaś się, jam znowu przebaczenia żebrał.
Ach! każde słowo twoje, wszystkie twe spojrzenia,
Pieszczoty i nadzieje, i wspólne cierpienia,
Wszystko to pamięć wiernie malowane trzyma,
Przeprowadzam ten obraz przed duszy oczyma,
Jak sknéra, gdy mu skarbiec udało się schwycić,
Patrzy i schnie, i oczu nie może nasycić.
Tą godziną jam przeszłość z mą przyszłością łączył,
Od niéj milsze dni zaczął, i na niéj zakończył.
Słońce wbiegło w te same nieba okolice;
Godzina uderzyła! gdzież są jéj źrenice?
Gdzie myśli?—Ona teraz w czułéj ściska dłoni
Cudzą rękę, niewierna, i do cudzéj skroni
Usta ciśnie, i łza jéj na cudzą twarz spada,
I serce biciem cudzéj piersi odpowiada.
Dziś możeby téj nowéj pary nie rozdzielił,
Piorun, któryby we mnie przed progiem wystrzelił!
Samotności wzgardzona! o téjże godzinie
Niegdyś cię porzuciłem, wracam w twą świątynię,
Jak do piastunki dziécię ze łzami powróci,
Obłąkane na chwilę ponętą łakoci..

Daruj, ponęta szczęścia zawżdy nazbyt silna,
Zbyt trudno się przekonać, że zawżdy omylna.
Może jeszcze ten ogień niegodny zatłumię,
Wszak jest nadzieja w czasie i milczącéj dumie.
Patrz, weszła na mém oknie wędrowna roślina;
Lecz nié ma liściom miéjsca; już gałązki zgina,
Kiedy te zwiędną, ziarno zmuszone umiérać;
Tak i ja nié mam przed kim skarg mych rozpościérać.
Gorzki ten owoc cierpień kiedy w ustach skona,
Pewnie i w sercu potem zamorzę nasiona.—
Lecz nadzieje dalekie! dziś pogoda nęci,
W polach, w niebie, na falach, szukać niepamięci.
Czas przechodzi, dla czegoż wyjście moje zwlekam?
Za każdém drzwi ruszeniem jéj posłańca czekam,
Niekiedy rąk jéj zdradne charaktery czytam,
Niekiedy mój zegarek bez potrzeby chwytam.
Raz porwałem się z miéjsca, stanąłem u progu,
Ach! była to godzina dawna, moc nałogu.
Jak ten, co mu śmierć lubą wydarła osobę,
Mimo dotkliwą boleść i długą żałobę,
Zabłąkawszy się w myślach—niestety! błąd luby!—
Na chwilę, mgnienie oka, zapomni swéj zguby,
Bieży, i tak się mocno złudzeniem omami,
Że już progi przestąpił—i zalał się łzami.

Adam Mickiewicz.

POZEGNANIE.

I.

Smutny, posępny był ranek jesieni,
Gdym się z mą lubą raz ostatni żegnał;
Kłęby mgły nocnéj wiły się w przestrzeni,
Gdy je przed chwilą nieco wiatr rozegnał.
Te wpół przejrzyste, jako welon biały,
Co krył naówczas bladą twarz dziewicy,
Wpół osłaniając, dwakroć pomnażały,
Urok, jak ona, pięknéj okolicy.
Te w groźną deszczem zlewając się chmurę,
Jak smutek w duszy, w powietrzu ciężyły;
Lub jak myśl nasza, mroczne i ponure,
Wznosząc się w niebo, niebo nawet ćmiły,
Lecz wprzód rzednieć i jaśnieć zaczęły,
Aż się jak we łzy, w rosę rozpłynęły.

II.

Byliśmy sami, w altanie bez liści,
Co wraz z miłością naszą rozwinione,
Przed skwarem słońca i okiem zawiści,
Niegdyś tak pewną tworzyły zachronę;
Co tyle razy nad naszemi głowy
Szumiąc rozkosznie, lub szeleszcząc głucho,
Tłumiły słowa tajemnéj rozmowy,
By ich zdradzieckie nie przejęło ucho.
Dzisiaj, o zmiano! zżółkłe i zwarzone,
Jedne już ziemię wpół skrzepłą zaległy,
Jak chwile szczęścia mnogie, nie liczone,
Co nam w ich cieniu tak szybko ubiegły.
Drugie, jak chwile co nam pozostały,
Gdzie niegdzie słabo trzymając się drzewa,
Nakształt serc naszych, z trwogi zda się drżały,
Że i je wkrótce lada wiatr pozwiewa.

III.

Byliśmy sami, bez świadków—prócz w niebie,
Ach! bez nadziei drugiéj takiéj chwili;
A jednak spojrzéć nie śmieli na siebie,
Jednak do siebie słowa nie mówili.
Bo choć łzy ulżyć mogłyby jedynie,
Lecz łzy wylane w rozstania godzinie,
Nim witający znów je wzrok osuszy
Blaskiem wesela, tak ciężą na duszy —

Jak rosa spadła we chwili zachodu,
Nim znowu słońce na niebie zabłyśnie,
Tchnieniem w net nocy ścięta w perłę lodu,
Zimnym ciężarem kwiat ku ziemi ciśnie.
A serca nasze tak już przepełnione
Były i żalem, i boleścią rzewną,
Iżby w nie jedno spojrzenie wrzucone—
Iżby za lada westchnieniem wstrząśnione,
We łzyby zaraz rozlały się pewno.....

IV.

W tém głos przeciągły, żałośny, ponury,
Zabrzmiał jak z nieba; spojrzymy do góry—
Wprost po nad nami, nie dojrzane prawie,
We mgle przelotne krążyły żórawie,
I coraz wyżéj wznosząc się w niebiosy,
I coraz nucąc smutniéjszemi głosy,
Zdały się niby użalać nademną,
Zdały się z sobą zwać mię do podróży;
Uczułem w sercu pociechę tajemną;
O luba! rzekłem, to nam dobrze wróży!
I one lecą do dalekiéj ziemi,
One powrócą, i ja wrócę z niemi!
Spojrzałem na nią — jakby wzrok mój zgadła,
Nagła spokojność lice jéj osiadła,
Przez mękę zda się gorzko uśmiéchnęła,
Nie patrząc na mnie, rękę mi ścisnęła,
I by łzy wstrzymać, wzrok wzniosła ku niebu.
Nagle głos dzwonka rozległ się przed domem!

Przebóg! słyszałem dzwon mego pogrzebu,
Czułem dreszcz śmierci w sercu nieruchomém!
Straszliwa chwilo! —w tém drżąca i zbladła,
Z głośnemi łzami na pierś mi upadła.
Nie wiém, nie pomnę jak ją pożegnałem;
Czułem ach! tylko, gdym się już oddalił,
Żar zda się jakiś, co mi usta palił,
I łzy na twarzy—choć sam nie płakałem.

DO * * *

Nikną dnia ślady. Na ciemném sklepieniu,
Noc drżące gwiazdy zapala.
Przed naszém okiem, w ich śrébrnym promieniu,
Szumiąca upływa fala.

Wzniosły się ognie na przeciwnym brzegu;
Ich blask rozbija się w wodzie.
Brzmi pieśń wioślarzy. W nienaglonym biegu,
Spóźnione zdążają łodzie.

Mgły płyną. Czasem blada twarz xiężyca,
Jak z grobu wyjrzy ponuro.
Patrzysz; i smutek twe okrywa lica;
Smucisz się z smutną naturą.

Czemuż łzą straszysz ten piękny wiek młody?
Czemuż to żałości słowo?
Czemuż w nurt ciemnéj wpatrując się wody,
Tak smutnie potrząsasz głową?..

Dla twych obrazów inne żyją farby.
Szukaj ich w młodości niebie.
Przed tobą wszystkie nadziei są skarby,
Prócz smutku, wszystko dla ciebie.

Dla ciebie ranek na czystym błękicie,
Budzi jutrzenkę radosną.
Pod nowém słońcem, nowy strój i życie,
Z nową rozwija się wiosną.

Młody krzew dolin, lekkim drżąc powiewem,
Rzeźwi się chłodami rosy.
Brzmią różno-dźwięcznym wonne gaje śpiewem,
I zewsząd szczęścia odgłosy.

Tu flet pastuszy echa łąk umila;
Tu zdrój w brzęczącéj podróży;
Tu blaskiem zorzy, pod skrzydłem motyla,
Płonie otwarta pierś róży.

Tu piękność, rozkosz, błyszczą twemu oku.
A w wieszczym myśl twoja rzucie,
Śród tego życia i szczęścia widoku,
Zbudzi przyszłości przeczucie.

S. Witwicki.

NIEPEWNOŚĆ.

Gdy cię nie widzę, nie wzdycham, nie płaczę,
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę;
Jednakże, gdy cię długo nie oglądam,
Czegoś mi braknie, kogoś widzieć żądam,
I tęskniąc, sobie zadaję pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Gdy z oczu znikniesz, nie mogę ni razu
W myśli twojego odnowić obrazu;
Jednakże nie raz czuję mimo chęci,
Że on jest zawsze blisko mój pamięci.
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?

Cierpiałem nieraz, nie myślałem wcale,
Abym przed tobą szedł wyléwać żale;
Idąc bez celu, nie pilnując drogi,
Sam nie pojmuję jak w twe zajdę progi;
I wchodząc sobie zadaję pytanie:
Co tu mię wiodło? przyjaźń czy kochanie?

Dla twego zdrowia życiabym nie skąpił,
Po twą spokojność do piekiełbym zstąpił,
Choć śmiałéj żądzy nié ma w sercu mojém,
Bym był dla ciebie zdrowiem i pokojem.
I znowu sobie powtarzam pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czy to jest kochanie?

Kiedy położysz rękę na me dłonie,
Luba mię jakaś spokojność owionie,
Zda się że lekkim snem zakończę życie;
Lecz mnie przebudza żywsze serca bicie,
Które mi głośno zadaje pytanie:
Czy to jest przyjaźń, czyli też kochanie?

Kiedym dla ciebie tę piosenkę składał,
Wieszczy duch memi ustami nie władał;
Pełen zdziwienia, sam się nie postrzegłem,
Skąd wziąłem myśli, jak na rymy wbiegłem;
I zapisałem na końcu pytanie:
Co mię natchnęło? przyjaźń czy kochanie?

Adam Mickiewicz.

UŁAMEK Z ELEGII.

Thy love is better than high birth to me,
Richer than wealth, prouder than garments' cost.
And having thee, of all men's pride I boast.

SHAKESPEAR'S *Sonnet.*

Często, o luba! gdy w światowém gronie
Niepostrzeżony, albo zapomniany,
Stojąc samotnie i marząc na stronie,
Z żalem i dumą walczę na przemiany:

— Cóż że nikt z tłumu, dla mnie, ni dla siebie,
Widząc samego, nie przystąpi do mnie?
Rozmowa moja, miłą jest dla ciebie,
Gdybyś tu była, pomniałabyś o mnie!

W tém drzwi się przemkną, ty wejdziesz do sali,
W całym i strojów i wdzięków uroku;
Gdy co mi czołem skinąć żałowali,
Zewsząd pokorą żebrzą twego wzroku.

Lub na twą drogę cisną się natrętnie;
A ty oziębła idziesz między zgrają,
A twoje oczy — niby obojętnie
Błądząc w około — wiém że mnie szukają;

A z ich błękitu, jak anioł pociechy,
Myśl twa, z méj twarzy zrozumiawszy moją,
Zlatuje ku mnie z wdzięcznémi uśmiechy:
Cóż żeś tu obcy?.. nie jestżem ja twoją? —

O droga myśli! jakże mi błahemi,
Blask, chwała, skarby, zdają się w téj chwili!
Cóż z nich za szczęście? gdy bogaci niemi,
Jużby je próżno dla cię poświęcili.

Większe me, bez nich, i szczęście i chluba!
Jednak o pychę stąd mię nie obwinisz;
Ach! ty mię sama, ty tylko o luba!
Czyniąc szczęśliwym, godnym szczęścia czynisz.

Bo wzrok twój każdy, leje w duszę moję,
Jakąś nadzieję, tajemniczą, dzielną:
Że przyjdzie chwila, gdy za miłość twoję,
Pieśni me zabrzmią wdzięczność nieśmiertelną.

FARYS *

Powieść Arabska.

PRZEZ

ADAMA MICKIEWICZA.

Jak łódź wesoła, gdy uciekłszy z ziemi,
Znowu po modrym zwija się kryształe,
I pierś morza objąwszy wiosły lubieżnemi,
Szyją łabędzią buja po nad fale;
Tak Arab, kiedy rumaka z opoki
Na obszar pustyni strąca;
Gdy kopyta utoną w piaszczyste potoki,
Z głuchym szumem, jak w nurtach wody stal gorąca.

* *Farys*, jeździec; jest to zaszczytne nazwanie u Arabów beduinów, znaczące to samo co *chevalier*, rycerz, w wiekach średnich.

"Już płynie w suchém morzu koń mój, i rozcina
Sypkie bałwany piersiami delfina.
Coraz chyżéj, coraz chyżéj,
Już po wierzchu zwir zamiata;
Coraz wyżéj, coraz wyżéj,
Już nad kłęby kurzu wzlata.

Rumak mój czarny jak burzliwa chmura, *
Gwiazda na czole jego jak jutrzenka błyska,
Na wolę wiatrów puścił strusiéj grzywy pióra,
A nóg białych polotem błyskawice ciska.

Pędź latawcze białonogi,
Góry z drogi, lasy z drogi!

Daremnie palma zielona,
Z cieniem i owocem czeka;
Ja się wydzieram z jéj łona,
Palma ze wstydem ucieka,
Kryje się w głębi oazy,
I szmerem liści z mojéj dumy się uśmiecha.

Owdzie, granic pustyni pilnujące głazy,
Dziką na beduina poglądają twarzą,
Kopyt końskich ostatnie podrzéźniając echa,
Taką za mną groźbą gwarzą:
"O szalony! gdzie on goni!
Tam od ostrych słońca grotów,

* Cztéry te wiérsze zawierające opisanie konia są tłómaczone z Arabskiego cztérowiersza, umieszczonego w notach do Antologii Arabskiéj *de Lagrange*.

Głowy jego nie ochroni,
Ni palma zielono-włosa,
Ni białe łono namiotów:
Tam jeden namiot — niebiosa.
Tylko skały tam nocują,
Tylko gwiazdy tam koczują."

Daremnie grożą, daremnie!
Pędzę i podwajam razy:
Spojrzałem, aż dumne głazy
Zostały z dala odemnie,
I ze wstydu, rzędem długim
Kryły się jeden za drugim.

Sęp usłyszał ich groźbę, i ślepo uwierzył,
Że beduina weźmie na pustyni jeńcem,
I w pogoń za mną skrzydłami uderzył;
Trzykroć czarnym obwinął głowę moję wieńcem:
"Czuję, krakał, zapach trupi,*
Jeździec głupi, rumak głupi.
Jeździec w stepach szuka drogi,
Szuka paszy białonogi.
Jeźdzce, koniu, pusta praca!
Kto tu zaszedł, nie powraca.
Po tych drogach wiatr się błąka,
Unosząc z sobą swe ślady;
Nie dla koni jest tu łąka,
Ona tylko pasie gady.

* Powszechny na wschodzie przesąd, że sępy czują śmierć z daleka i krążą za człowiekiem mającym umrzeć. Jakoż, zaledwie skona podróżny, wnet kilka ich zjawia się w okolicy, chociaż pierwéj zgoła nie były widziane.

Tylko trupy tu nocują,
Tylko sępy tu koczują.'"

Kracząc, lśniącemi szpony w oczy mi urągał,
I spojrzeliśmy sobie trzykroć oko w oko.
Któż się uląkł? — Sęp uląkł, i uciekł wysoko.
Kiedym go chciał ukarać, i majdan naciągał,
I gdym sępa oczyma po za sobą tropił,
Już on wisiał w powietrzu jako plamka szara,
Wielkości wróbla, motyla, komara;
Potém się całkiem w błękicie roztopił.

Pędź latawcze białonogi,
Skały z drogi, sępy z drogi!

Wtenczas obłok zachodni wyrwał się z pod słońca,
Gonił mię białém skrzydłem po błękitnym sklepie.
On w niebie za takiego chciał uchodzić gońca,
Jakim byłem ja na stepie.
Nad głową moją zawisnął,
Taką groźbę z wiatrem świsnął:
"O szalony! gdzie on goni!
Tam pragnienie piersi stopi,
Obłok deszczem nie odkropi
Osypanéj kurzem skroni.
Strumień na błoniu jałowém,
Nie ozwie się srebrném słowem:
Rosa nim na ziemię spadnie,
Wiatr ją głodny w lot rozkradnie."

Daremnie grozi! pędzę i podwajam razy:
Obłok strudzony zaczął po niebie się słaniać;
Coraz niżéj głowę skłaniać;
Potém oparł się na głazy.

A gdym oczy raz jeszcze ze wzgardą obrócił,
Jużem o całe niebo w tyle go porzucił.
Widziałem z twarzy co on w sercu knował:
Zaczerwienił się od złości,
Oblał się żółcią zazdrości,
Nakoniec jak trup zczerniał, i w górach się schował.

Pędź latawcze białonogi,
Sępy z drogi, chmury z drogi!

Teraz oczy kręgiem słońca,
Okręciłem koło siebie.
I na ziemi i na niebie,
Już nie było za mną gońca.
Tu natura sama ujęta,
Nigdy ludzkich stóp nie słyszy;
Tu żywioły drzémią w ciszy,
Jak niepłoszone źwierzęta,
Których stado nie ucieka,
Widząc piérwszą twarz człowieka.

Przebóg! ja tu nie piérwszy! śród piaszczystéj kępy
Oszańcowane świécą się zastępy,
Czy błądzą, czy z zasadzki czatują na łupy?
Jeźdźce w bieli, i konie straszliwéj białości:
Przybiegam — stoją; wołam — milczą; to są trupy!
Starożytna karawana,
Wiatrem z piasku wygrzebana.
Na szkieletach wielbłądów siedzą jeźdźców kości.
Przez jamy, gdzie były oczy,
Przez odarte z ciała szczęki,

Piasek strumieniem się toczy,
I złowrogie szemrze jęki:
"Beduinie opętany,
Gdzie lecisz? tu huragany! * —"

Ja pędzę, ja nie znam trwogi.
Pędź latawcze białonogi,
Trupy, huragany z drogi!

Huragan, z afrykańskich piérwszy burzycieli,
Przechadzał się samotny po żwiru topieli.
Obaczył mię zdaleka, wstrzymał się i zdumiał,
I kręcąc się na miejscu tak do siebie szumiał:
"Co tam za jeden z wichrów, moich młodszych braci,
Tak poziomego lotu, nikczemnéj postaci,
Śmié deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?"—
Ryknął, i ku mnie w kształcie piramidy ciągnął.
Widząc żem był śmiertelny, i nieustraszony,
Ze złości ląd nogą trącił,
Całą Arabiją zmącił,
I jak gryf ptaka, porwał mię w swe szpony.
Oddechem ognistym palił,
Skrzydłami kurzawy walił,
Ciskał w górę, bił o ziemię,
Nasypywał żwiru brzemię.

* *Huragan.* Jest to wyraz Amerykański *urikan* i oznacza straszliwą burzę tropikową. Ponieważ znajomy powszechnie w Europie, użyliśmy go zamiast wyrazów Arabskich *Semum*, *Serser*, *Asyf*, i t. p. w znaczeniu wichru albo trąby powietrznéj, zasypującéj niekiedy całe karawany. Persowie nazywają go *Girdebad.*

Ja zrywam się, walczę śmiało;
Targam jego członków kłęby,
Ćwiertuję piaszczyste ciało,
Gryzę je wściekłémi zęby.
Huragan chciał z mych ramion w niebo uciec słupem,
Nie wydarł się, w pół ciała zerwał się i runął;
Deszczem piasku z góry lunął,
I legł u nóg mych długim, jak wał miejski, trupem.

Odetchnąłem! ku gwiazdom spoglądałem dumnie.
I wszystkie gwiazdy oczyma złotemi,
Wszystkie poglądały ku mnie;
Bo oprócz mnie nie było nikogo na ziemi.

Jak tu mile oddychać piersiami całemi!
Oddycham pełno, széroko,
Całe powietrze w Arabistanie
Ledwie mi na oddech stanie!
Jak tu mile poglądać oczyma całemi!
Wytężyło się me oko,
Tak daleko, tak széroko,
Że więcéj świata zasięga,
Niż jest w kole widno-kręga!
Jak miło się wyciągnąć ramiony całemi!
Wyciągnąłem ku światu ramiona uprzejme,
Zda się że go ze wschodu na zachód obejmę! —
Myśl moja, ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżéj, wyżéj, i wyżéj, aż do niebios szczytu.
Jak pszczoła, topiąc żądło i serce z niém grzebie,
Tak ja, za myślą, duszę utopiłem w niebie."

BRANKA LITWINA

BALLADA *

"No no, Laszko, dość jęku!
Nie płacz, nie mdléj w mych ręku.
Wszyscy na koń już wsiedli,
Wszyscy brańców powiedli.
Jaż mam z tobą czas trwonić,
Bym ich nie mógł dogonić?
Czy cię zabić, bym z bitwy
Z niczém wrócił do Litwy?

* Z dawnych czasów Litwy.

"Nie, nie! prosisz daremno.
Żywa musisz iść ze mną.
Daléj! śmiało! siądź wpodle
Na słomianném mém siodle!
Bystry koń mój ze Żmudzi,
Swym cię biegiem nie strudzi,
A przed wiatrem, na łonie
Wilczą burką osłonię.

"Daléj z serćem ochoczém!
Nié masz płakać tu po czém.
Patrz, twój piękny dwór biały,
W ogniach stoi już cały.
A ów Laszek twój młody,
Co na koniu w zawody,
Chciał cię unieść przedemną,
Chciał obronić daremno,
Wierz mi, w zimnym swym grobie,
Nie zatęskni po tobie.

"Patrz no, patrz no! jak zbladła!
Jak nieżywa upadła.
Żal jéj brać mię zaczyna,
Taka piękna dziewczyna!

"No przyjdź tylko do siebie,
Sam dbać będę o ciebie.
Po nad brzegiem Żejmiany,
Mam ja zamek drewniany,

Pełne gumna, i pełny
Śpichrz kądzieli i wełny.
Tam nie będzie ci smutno,
Przez dzień będziesz tkać płótno,
W wieczór, w gronie mych dziewek,
Przędąc, słuchać ich śpiewek.
A jak syn mój jedyny,
Wróci z Pruskiéj krainy,
Któż wié, gdy cię polubi,
Może nawet zaślubi.

"Mało równych mu w Litwie,
I na ucztach, i w bitwie.
Nie dziewczyna, nie gaszek,
Jak ów piękny twój Laszek.
Wzrost jak dębu wyniosły,
Cały czarno zarosły,
Wzrok jak gdyby Perkuna,
Błyska ogniem pioruna,
A niech zginę gdy kłamię!
W ręku sztabę rozłamie.

"Ho! już płakać przestała!
Ogniem płonie twarz cała.
Czy dziękujesz, czy prosisz,
Że tak w niebo wzrok wznosisz?
Skąd z tak nagłym pośpiechem,
Siadasz na koń z uśmiechem?

A FINE IS INCURRED IF THIS BOOK I
NOT RETURNED TO THE LIBRARY O
OR BEFORE THE LAST DATE STAMPE
BELOW.
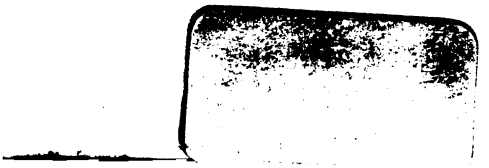
STALL STUDY
CANCELLED
CHARGE
JUN 3 '75 H
47 2844
CA
FEB